Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 11 (59) WARSZAWA, DNIA 1 WRZEŚNIA 1934 R. CENA 50 GR.

Polska psuje Pakt Wschodni

Idą czasy, w których Polska będzie musiała myśleć za całą Europę.

Zet, nr. 4 (52).

Najaktualniejszą sensacją polityczną jest dziś t. zw. Pakt Wschodni. Mówi się zaś o nim tembardziej nerwowo (zwłaszcza nad Sekwaną), że montaż tej nowej arcyskomplikowanej konstrukcji odbywa się przy akompanjamencie groźnych grzmotów na Dalekim Wschodzie. Nasze ministerstwo spraw zagranicznych wyraża wprawdzie swoje niepomierne zdziwienie, że inicjatorom paktu tak śpieszno do jego sfinalizowania; i zdziwienie to — z naszego polskiego punktu widzenia — jest całkiem słuszne (kto jak kto, ale my nie mamy powodu się śpieszyć). Ale autorzy tej koncepcji, pp. Barthou - Litwinow wiedzą dobrze dlaczego tak naglą.

Napozór zdawałoby się, że uwaga Francji winnaby być raczej skoncentrowana w obecnym momencie na problematyce politycznej Europy środkowej; niedawno wszak przeleciała nad Austrją burza gradowa, mocno pachnąca prochem, w następstwie czego odgrażano się w całej niemal Europie Niemcom Hitlera, jako burzycielom pokoju i wrogom cywilizacji europejskiej. W istocie jednak, jakkolwiek Europa żyje pod znakiem wojny, a nerwowy pośpiech jej dyplomacji wskazuje na atmosferę szczególnie naprężoną, niema dzisiaj na naszym kontynencie napięć dynamicznych natyle silnych, by mogły one przeważyć powszechną obawę przed nową wojną i doprowadzić do wybuchu.

Stąd pochodzi ten dziwny fakt, że Francja zamiast się krzątać gdzieś bliżej swych własnych granic, urządza rajd na drugi kraniec Europy i pragnie usilnie zorganizować pokój właśnie tu, gdzie — zdawałoby się — jest on przez całą konstruktywną politykę Polski, a w pierwszym rzędzie przez pakty nasze z Niemcami i Rosją dostatecznie zabezpieczony.

Ten splot konjunktur jest jednak tak zawiły, przynajmniej w oczach przeciętnego czytelnika gazet, że sprawa Paktu Wschodniego mglistością swoją przewyższyła wszystko, co się ostatnio dokonywało za kulisami „wielkiej polityki" na naszym kontynencie. No, bo cóżto ma znaczyć? Polska uważa się za zabezpieczoną, a Francja powiada, że to za mało i koniecznie chce jej zagwarantować jeszcze więcej? Albo naodwrót: Francja chce ratować świat od wojny, chce gwarantować nietykalność granic wszystkim państwom od Renu aż do Władywostoku, a Polska się temu sprzeciwia, Polska nie chce? I co oznaczają doniesienia pism zagranicznych, że Polska odradza państwom bałtyckim przystąpienie do paktu, lub, że nawet Niemcy godzą się na udział w pakcie, gdyby nie to, że Polska...

A więc Polska psuje Pakt Wschodni? W imię jakichś utajonych, egoistycznych rachub śmie ona krzyżować zbawienne plany zabezpieczenia pokoju światu?

Z szeregu pytań, które tu się cisną na usta, te dwa są najważniejsze:

1) dlaczego Francja tak śpieszy z budowaniem pokoju właśnie tu, w orbicie polityki polskiej, a nie na Zachodzie?

2) dlaczego Polska krzyżuje w tym względzie plany Francji?

Najprostsza odpowiedź brzmiałaby tak: Francja w przymierzu z Rosją chce tak osaczyć i skrępować Niemcy, aby nie mogły one już targnąć się na jej granice; Polska zaś psuje tę robotę, ponieważ działa w porozumieniu z Niemcami, a jest przytem zazdrosna o swoje stanowisko mocarstwowe w Europie Wschodniej. Byłoby to jednak tłomaczenie nazbyt symplicystyczne, Nie ulega wątpliwości, że oportunizm francuski myśli przedewszystkiem o bezpieczeństwie Renu: czyżby jednak zdrowy rozsądek Francji angażował się w tym celu w budowanie tak dziwacznej i po niemiecku ociężałej machiny politycznej, w której — jak pisze „Gazeta Polska" — *wszyscy wszystkim wszystko* mają zagwarantować"; czy długoletnie doświadczenie Quai d'Orsay'u, choć nadwyrężone locarneńskim iluzjonizmem, nie ostrzegłoby go przed nierealnością takich koncepcyj, skoro współpraca sztabów angielskiego i francuskiego jest na wypadek wojny i tak zapewniona? Podobnie, choć jest oczywistem, że Polska nie ma powodu cieszyć się z sojuszu francusko - rosyjskiego, utrącającego w dużej mierze jej znaczenie na wschodzie, tembardziej zaś patrzeć spokojnie, jak Francja przekreśla rezultaty jej dwuletniej konstruktywnej polityki, zastępując wypracowane przez nią pakty własnym systemem politycznym, — przyjaźń polsko - francuska jest jednak za wielką stawką, aby ją poświęcać dla samych tylko mocarstwowych ambicyj.

Zanim pokusimy się jednak o odpowiedź bardziej przekonywującą, posłuchajmy co się w Polsce mówi o tem naszem tak bardzo irytującem Francję stanowisku.

Niedawno b. minister Matuszewski, w wywiadzie udzielonym p. Guitard z „Le Petit Journal", wyjaśniał przyczyny rozdźwięku między sojuszniczkami, przytaczał jednak rzeczy tak błahe, że aż niepoważne, idzie tu chyba o sprawy doniośiejsze, niż o jałowe i nieco histeryczne przekomarzanie się z Francją, że nas zanadto chce wodzić za nos, a my się nie damy; także argumenty natury gospodarczo - pożyczkowej brzmiały może nazbyt cynicznie w stosunku do idealistycznych — przynajmniej w słowach — też Francji. Byłoby rzeczą nader smutną, gdyby Polska dlatego psuła francuski plan pacyfikacji świata, bo nie dostała w swoim czasie pożyczki, choć na to zasługiwała.

Nieco inaczej przedstawia sytuację polski minister spraw zagranicznych, który uważa słusznie, że Polska posunęła w ostatnich latach tak daleko sprawę pokoju, że ma prawo domagać się zaufania i na przyszłość. „Był czas, kiedy uważano ,że wschód Europy był w szczególności narażony na wszelkiego rodzaju konflikty"; wówczas jednak mało zważano na bezpieczeństwo Polski ujętej w kleszcze Rapalla, zapomniano zaś zupełnie o bezpieczeństwie państw bałtyckich. Obecnie, dzięki szeregowi aktów politycznych, pokój na Wschodzie Europy jest lepiej ugruntowany niż gdziekolwiek indziej, z czego wniosek, że pakt wschodni zdaje się nie być nagląco potrzebnym, w każdym razie zaś musi być naprzód dobrze i wszechstronnie zbadany.

Charakterystycznem jest, że opinja całego społeczeństwa polskiego, nie wyłączając ugrupowań opozycyjnych, zgodna jest z opinją powyżej wyrażoną. Gdy z jednej strony „Gazeta Polska" dziwi się, że „koniecznie *na swój sposób* chcą nam zapewniać bezpieczeństwo, właśnie teraz, gdy budzi ono daleko mniej obaw niż np. przed lat dziesiątkiem", i gdy zaznacza, że *decydujący* głos w tej sprawie należy się tym państwom, które „zdały w ostatnich latach egzamin dojrzałości politycznej", — to „Myśl Narodowa" wypowiada się jeszcze dobitniej:

„Polska jest najbardziej zainteresowana całą sprawą, byłaby przedmiotem i podmiotem paktu... Polska musiałaby wszystkie swe siły rzucić na szalę w razie zatargu, Polska byłaby terenem wojny, Polska ryzykowałaby swój byt państwowy! Polityka polska pracowicie buduje podstawy swego bezpieczeństwa przez sojusz z Rumunją, przez unormowanie stosunków z Niemcami, przez zbliżenie z Rosją... Nagle, nie porozumiawszy się z czynnikiem najbardziej zainteresowanym, stanowiącym podstawę całego układu w Europie wschodniej... wymaga się, by Polska przeciągnęła mokrą gąbką projektowanego paktu po tablicy, na której pracowicie wypisano szereg traktatów i porozumień..."

„Jeszcze się pakt wschodni nie narodził, a już narobił zamętu w Europie Wschodniej. Wizyta p. Barthou utrwaliła sojusz Polski z Francją, porozumienie z Rosją rozwijało się prawidłowo; pakt z Niemcami unormował z niemi stosunki; pod naciskiem konieczności zaczęła Litwa rozumieć, że jej stosunek do Polski staje się anachronizmem". Aż tu pojawia się projekt paktu i oto zaczyna się zaognienie między Francją a Polską, prasa rosyjska zaczyna nas atakować, „co najważniejsza zaś, wzbudził projekt paktu i zabiegi sowieckie w Kownie, nowe nadzieje na Litwie".

Z zacytowanych wypowiedzi wynikałoby tedy, że nietyle Polska psuje pakt wschodni, ile pakt wschodni psuje to, co zrobiono w tej części Europy dla sprawy pokoju.

— — — — — — — — —

Wbrew pozorom, reżyserem całego tego z rozmachem przysposabianego widowiska, jest nie pan Barthou, lecz towarzysz Litwinow: francuski minister spraw zagranicznych zadowala się drugorzędną funkcją inspicjenta. Obydwaj wypychają Polskę pierwszą na scenę, ofiarowując jej wspaniałomyślnie rolę heroiny, bohaterki dramatu. O cóż-bo chodzi? Wojna wisi na włosku, armja czerwona, bijąc w bębny, chce maszerować na Zachód, na pomoc Francji, a tu tymczasem — z powodu dziwnego uporu Polski — niema którędy przejść, a co gorzej niema areny dla walczących zapaśników. Wytwarza się w ten sposób sytuacja iście groteskowa. „Der Kriegstheater ist verschwunden". Polska jest jedynem miejscem (w realnem tego słowa znaczeniu), na którem działania wojenne mogłyby się rozwinąć; a tymczasem Polska zapragnęła gwałtem zamknąć się hermetycznie na cztery spusty i zachować ścisłą neutralność. Na domiar, nietylko wojska polskie nie chcą maszerować ramię przy ramieniu z pułkami czerwonemi na Berlin, nietylko nie zamierzają ich przepuścić przez nasze terytorjum, ale jeszcze polski minister spraw zagranicznych chce zamknąć im przed nosem jedyne wolne „passée" przez Estonję, Łotwę i Litwę do Prus Wschodnich. To może naprawdę zirytować. Niewiadomo przytem (tak zapewne rozmyśla towarzysz Litwinow), czy Polacy raptem nie zdecydują się na wspólny raid z Reichswehrą w kierunku Kremla, a przynajmniej na mały wypad w stylu Chrobrego na Kijów, o czem dziś w Moskwie wyraźnie się przebąkuje. Przecież każda zawierucha wojenna w tych okolicach musi postawić na porządku dziennym sprawę Wielkiej Ukrainy, a Warszawa ma w tej sprawie pewne tradycyjne orjentacje, z czasów atamana Petlury.

Jakiż jednak sens tej całej reżyserji, skoro mówiliśmy powyżej, że w Europie niema dziś napięć dynamicznych, mogących doprowadzić do wybuchu wojny?

Oto taki, że każda scena ma swoje kulisy. A kulisami Paktu Wschodniego jest zatarg na Dalekim Wschodzie, czyli nieunikniona wojna między Rosją a Japonją. „Hier liegt der Hund begraben" (jak powiadają Niemcy). Towarzysz Litwinow nie kwapiłby się wcale z wprowadzeniem Rosji do Ligi Narodów i nie przyrzekałby Francji zbrojnej pomocy na wypadek konfliktu z Niemcami, gdyby nie wiedział o niebezpiecznej wspólnocie interesów Tokja i Berlina, gdyby nie liczył się z tem, że gdy na Wschodzie zagrzmi: „banzaj!", akcje planu Rosenberga podskoczą w górę. Towarzysz Litwinow wie dobrze — i wypowiada się z tem otwarcie — że wojna z Japonja stworzy sytuację, w które sąsiadującym z Sowietami państwom „będzie trudno usiedzieć z założonemi rękami"; ma przytem na myśli nietylko Trzecią Rzeszę, ale również Polskę i Finlandję, która tak bardzo tęskni do odzyskania Karelji, że — choć nie zaproszona do paktu wschodniego — zaznacza w sposób wymownie kategoryczny, że absolutnie nie weźmie w nim udziału. Towarzysz Litwinow obawia się słusznie, że taki obrót wypadków, w połączeniu z buntem na Ukrainie, z rewoltami innych narodów uciemiężonych (zaczynając od Kaukazu), z ruchem masowym chłopstwa zrzucającego niezrozumiałe i nieznośne dlań jarzmo kolektywizacji, a wreszcie z legionami emigracyjnemi, sformowanemi pod opiekuńczem skrzydłem Hitlera, zapalającemi żagiew świętej wojny przeciwko „pachołkom Antychrysta", — mógłby się skończyć katastrofą sowieckiego regime'u. Dlatego wykombinował on zręczny plan pacyfikacji całego zachodniego pogranicza, licząc na to, że pakt wschodni w najlepszym razie zapewni tu neutralne status quo, w najgorszym zaś: gdyby Niemcy jednak się wmieszały, rzuci na nie potężne armje Francji i Polski.

Z drugiej strony Francja widziałaby chętnie odnowienie dawnego sojuszu franko - rosyjskiego (choć sfery prawicowe Paryża wzdrygają się nieco ze względów przyzwoitości, na jego obecny charakter); Sowiety stanowią już dziś wielką potęgę militarną, którą warto mieć w odwodzie na wypadek dalszej ewolucji stosunków w Niemczech w kierunku regime'u w stylu przedwojennym, junkiersko - wojskowym.

Motywy dyplomacji francuskiej, idącej na tak ryzykowny system gwarancyj, zdają się być następujące:

1) Francja pragnie szczerze pokoju, a obawia się, że — na wypadek zbrojnego zatargu na Dalekim Wschodzie — na zachodniem pograniczu Rosji rozpali się pożar, który ogarnie całą Europę, a więc i ją samą;

2) Francja nie może dopuścić do katastrofy Rosji, gdyż oznaczałaby ona realizację planu Rosenberga, a więc niesłychany wzrost potęgi Niemiec, urzeczywistniający ich marzenia o hegemonji na kontynencie.

Tak więc motywy Litwinowa, które są kwestją życia i śmierci Sowietów, i motywy Barthou, które są kwestją utrzymania dominującego stanowiska Francji w Europie, zbiegły się z sobą natyle, że urodziły — w tym konkubinacie — Pakt Wschodni.

Polska krzyżuje te wszystkie skomplikowane rachuby. W Paryżu liczą wprawdzie, że zgłosi ona wreszcie swój akces do paktu, ale z takiemi zastrzeżeniami, które — wraz z poprawkami niemieckiemi i bałtyckiemi — sprowadzą jego znaczenie praktyczne niemal do zera.

To ostatnie byłoby o tyle pożądane, że może Francja porzuciłaby iluzoryczne koncepcje, dochodząc do przekonania, że jednak stary, poczciwy sojusz wojskowy z Polską trzyma mocniej Niemcy w ryzach i gwarantuje pokój dobitniej, niż zapraszanie do udziału w tych gwarancjach nowego, tak *niebezpiecznego* kontrahenta.

— — — — — — — — —

Istnieją dziś cztery wielkie plany polityczne o charakterze dynamicznym, dążące do radykalnej przebudowy świata: 1) plan Polit-biura czyli koncepcja światowej rewolucji proletarjatu, 2) kontr-plan Mussoliniego, t. zw. idea Powszechności Rzymu, zmierzająca do światowej „pax romana" pod patronatem włoskiego faszyzmu, 3) plan Rosenberga, czyli światowego panowania rasy germańskiej, zapomocą podbitej i użytej jako narzędzie Słowiańszczyzny Wschodniej, 4) memorjał Tanaki, czyli plan panowania japońskiej „rasy bogów" najpierw nad Azją, a potem nad całym globem, z użyciem znowuż jako narzędzia, odrodzonego pod patronatem Japonji kolosa chińskiego.

Dwa ostatnie z tych planów narazie idą ręka w rękę, dzieląc się niejako sferami wpływów. W stadjum bezpośredniej realizacji znajduje się obecnie — zpośród wszystkich czterech — przedewszystkiem memorjał Tanaki.

Jak już pisaliśmy niejednokrotnie, najbliższym etapem planu japońskiego jest zniszczenie Sowietów. Apostołem tej idei jest w pierwszym rzędzie chrześcijański generał Sawwa Daniłowicz-Araki, wódz partji wojskowej Nipponu. Po zupełnem opanowaniu Mandżurji Japonja przeprowadza na przestrzeni 8.000 kilometrów, od Władywostoku po Turkiestan Wsch., ogromny manewr okrążenia. Nacisk na kolej wschodnio-chińską, którą Japonja wymusić chce za bezcen od Sowietów, doszedł dziś do punktu kulminacyjnego, grożącego wybuchem. Rząd tokijski chce doprowadzić Sowiety do tego, by rozpoczęły one — wbrew swym antykapitalistycznym zasadom — wojnę o pieniądze, rozumując słusznie, że wojna taka byłaby wśród rosyjskiego proletarjatu conajmniej niepopularna. Ponieważ zaś Sowiety panicznie lękają się tego konfliktu i nie dają się wyprowadzić z równowagi, Japonja stwarza rozmyślnie precedensy (ostatnie aresztowania sowieckich urzędników).

Synowie boskiej rasy Yamato muszą się śpieszyć z urzeczywistnieniem swych planów, zanim Rosja wstąpi do Ligi Narodów, zjednując sobie opinję świata, zanim będzie zawarty pakt wschodni, zanim uzbroją się Stany Zjednoczone, pośpiesznie wykonujące swój program flotowy, zanim wygaśnie umowa o eksploatację pól naftowych w rosyjskim półn. Sachalinie, której nb. Sowiety nie chcą przedłużyć (należy pamiętać, że Japonja nie posiada pozatem żadnych własnych źródeł naftowych).

Przyjaciele Sowietów w prasie europejskiej twierdzą, że Japonja prze do własnej zguby, bo szanse jej w tej wojnie są żadne; Japończycy są stroną atakującą— powiadają oni — a jeszcze żaden najeźdźca Rosji nie wygrał w walce z jej „niezmiernemi przestrzeniami" (tu przykład Napoleona, i t. d.); przytem będą oni mieli odrazu do czynienia z Ameryką i Chinami, których dywersja zwiąże większość jej sił bojowych. Prorocy ci zapominają jednak o tych różnorodnych czynnikach, które mogą przyjść w sukurs Japonji od Zachodu.

W każdym razie jest faktem, że ledwo przybliżyły się te alarmy wojenne, a już słyszymy o groźnych pomrukach Stanów Zjednoczonych, o ich pertraktacjach z Wielką Brytanją, o układzie japońsko-angielskim, o niepokoju w Paryżu; świadczy to, że jest niemal niepodobieństwem zapobiec, by koflikt rosyjsko-japoński nie przemienił się w burzę światową. Widzimy więc, że pakt wschodni tkwi korzeniami w problemie o rozpiętości globowej i od postawy Polski zależą tu pośrednio — całe przyszłe losy cywilizowanej ludzkości.

— — — — — — — — —

Bezpośredni interes Polski przemawia niewątpliwie przeciwko angażowaniu się jej — w sposób wiążący — w tę niebezpieczną koncepcję; Polska nie może i nie chce narażać swego bytu państwowego, okupionego tak olbrzymiemi ofiarami; Polska nie powinna być terenem przemarszów i bojów obcych armij. Zdarzają się jednak w dziejach sytuacje tak odpowiedzialne, że godzi się raczej wystawić na szwank swój bezpośredni interes, a pójść za głosem sumienia, składając ofiarę na ołtarzu celów idealnych.

Otóż powstaje tu pytanie: czy Polska powinna się poświęcić dla pokoju i podpisać Pakt Wschodni, a co za tem idzie uratować Sowiety przed zagładą?

Naszem zdaniem poświęcenie takie nie byłoby wskazane, a to z następujących względów:

1) jest prawie pewnem, że — bez względu na wszelkie układy — konflikt rosyjsko - japoński, spowoduje i tak wojnę światową; pocóż tedy narażać swój byt państwowy dla świstka papieru, jeszcze mniej wartościowego, niż ongi Locarno Zachodnie:

2) pakt wschodni jest barjerą znacznie mniej pewną, niż „polski system pokoju" zbudowany przez konstruktywną politykę naszą nad Bałtykiem, a zagradzający drogę zarówno Niemcom do Rosji, jak Rosji do Niemiec; pocóż więc psuć lepsze, realne zabezpieczenie, a budować fikcyjne, gorsze;

3) neutralność Polski stwarza — jak na to oddawna zwracamy uwagę — system równowagi sił, trzymający w szachu Niemcy i Rosję tak długo, jak długo Polska nie przechyli się na czyjąś stronę, a odraczający wybuch wojny rosyjsko-japońskiej możliwie ad maximum (Japonja woli nie zaczynać akcji, dopóki Niemcy nie będą miały wolnej drogi).

Ale jest jeszcze i inny, walniejszy argument: Polska jest dzisiaj najwyższą stawką historji, stawką, której przegrać nie wolno. W Polsce krzyżują się najważniejsze linje sił polityki międzynarodowej. Polska staje się centrum, kluczem, węzłowiskiem światowego wszechsystemu idej kierowniczych, punktem zetknięcia komunizmu i faszyzmu, oraz momentem neutralizującym idących sobie na spotkanie mesjanizmów Niemiec i Japonji. Losy wszystkich czterech planów przebudowy świata zawisły w tej chwili od niej.

Straszliwe starcie sił „starego świata" jest już nieuniknione. Polska winna zgłosić swoje zupełne desinteressement co do ich losów, reprezentuje ona bowiem — przynajmniej potencjalnie — ideę, która wylatuje jak orzeł ponad te poziome rozgrywki. Prawda polska ma moc wielkiej światotwórczej idei, której racja stanu wymaga pełnej neutralności wobec nadchodzących wypadków. Samodzielność, owa „splendid isolation" obecnej polityki polskiej, jest nieodzownie potrzebna w obliczu jutrzejszych konjunktur.

Trzeba, aby Polska *urosła ponad Europę.*

A Polska urasta ponad Europę przez własną politykę pokoju i przez fakt coraz niebotyczniejszego *zwęźlania się problemów światowych* na niej jednej, jak na „kamieniu obrazy", o który potykają się ze zdumieniem wszystkie potęgi i plany.

Wytrzymać w tej neutralności do ostatka, to znaczy *stać się momentem równowagi sił* o napięciu psychicznem i materjalnem, równem wprost całej dynamice dotychczasowych dziejów.

Cokolwiekby się działo dookoła, Polska nie może się w to mieszać czynnie, bo i tak nie odwróci niezmiernego ciężaru fatalności historycznej, a zaprzepaści najcenniejszy atut: *swe własne, rozstrzygające posłannictwo.*

Wytrzymać w neutralności, ale jedynie poto, aby w stosownej chwili, gdy rozlecą się w drzazgi wszystkie fałszywe rachuby i równie fałszywe doktryny, *wystąpić z piorunującym czynem.*

Wówczas „kamień obrazy" stanie się kamieniem węgielnym *nowej Europy.*

Jeżeli do tego czasu „wojnę Prawdy wygra Polska w sobie", i zrozumie do głębi *absolutny walor swej Idei.*

Idzie o to, by w ów czas słowo Polski miało wagę *sumienia Europy*, i aby podany przez nią plan przebudowy moralnej i politycznej świata, zakończył definitywnie długoletni okres chaosu i klęski.

Kongresy naukowe

W VIII Międzynarodowym Kongresie Filozoficznym, którego otwarcie nastąpi 2 b. m. weźmie udział szereg polskich uczonych, m. in. prof. R. Ingarden, który wygłosi referat p. t. „Der logistische Versuch einer Neugestaltung der Philosophie" prof. J. Łukasiewicz (Warszawa) ref. p. t. „Die Bedeutung der logischen Analyse für die Erkenntnis", prof. Zawirski (Poznań): „Bedeutung der mehrwertigen Logik für die Erkenntnis", K. Ajdukiewicz (Lwów): „Ueber die Anwendbarkeit der reinen Logik auf philosophische Probleme", T. Gościcki (Poznań): „L'idée de l'intuitiver Verstand de Kant", B. Jasinowski (Wilno): „Das Verhältnis der Philosophiegeschichte zur systematischen Philosophie und der Werdegang der wissenschaftlichen Erkenntnis", K. Kowalski (Gniezno): „Les fondements de la philosophie et leur mission dans notre temps".

Na Zjeździe Naukowym Astronomów polskich (29 — 31 sierpnia r. b.) wygłosili referaty pp.: P. Demiańczuk, Wł. Dziewulski, W. Ehrenfeucht, W. Goreczyński, K. Jankowski, J. Jasnorzewski, W. Iwanowska, F. Kępiński, J. Mergentaler, ks. B. Metler, J. Piegza, J. Rodkiewicz, E. Rybka, J. Witkowski, A. Wilk, Wł. Zonn. Wielkie zainteresowanie wzbudziły referaty o pracach astronomicznych H. - Wr., a mianowicie P. Demiańczuka: „Mechanika niebios układu słonecznego według Hoene - Wrońskiego" i K. Jankowskiego: „Idee Hoene-Wrońskiego o budowie cieczy". Prof. Banachiewicz, nie mógł wziąć udziału w zjeździe z powodu choroby.

Wywiad z autorem

Z zapisków o Wyzwoleniu

Istnieje taki wywiad. Był człowiek, z którym autor Wyzwolenia wkrótce po „premjerze" mówił o swym dramacie i który tę rozmowę zużytkował w dziennikarskim artykule. Że to zostało zrobione nieudolnie — łatwo odgadnąć, gdy się wie, że tym wywiadowcą był Kotarbiński. Nie posiadam jego „Pogrobowca romantyzmu" (do którego natchnienie, widzieliśmy, zaczerpnął z „Czasu", podobnie jak z „Czasu" A. G. Siedleckiemu przyszedł pomysł przeeskamotowania Wyspiańskiego w jeszcze dalszą przeszłość, robiąc z niego spóźnionego reprezentanta XVII-go wieku), ale pamiętam, że w tej książce to, co zasłyszał, zdeformował jeszcze bardziej. W tem, co wtedy opublikował w „Głosie Narodu"—z 29 i z 31 marca 1903 — tkwi jeszcze przynajmniej coś niecoś z żywego słowa Wyspiańskiego. Jest przytem ten wywiad unikatem (bo drugi istniejący dotyczy sprawy dzierżawy krakowskiego teatru) a fakt, że go interwiewowany nie zdementował, stwierdza, że to, co wywiad jako jego własne wypowiedzi przytacza, zgodne było z jego myślą.

O tem, czem były rozmowy Wyspiańskiego, istnieje wiele relacji. Najlepszą — wprost klasyczną — jest artykuł A. G. Siedleckiego p. t. „Indywidualność W-go", ogłoszony w „Kurjerze Warszawskim" z 1-go stycznia 1932 r. Świadectwo to jest tem cenniejsze, że wyszło nie od bez względnego entuzjasty, ale od pisarza, który przy większym od autora „Pogrobowca" talencie, niemniej od niego się przyczynił do rozpostarcia „mgły nieporozumień". W danym wypadku zapomniał prawie, że jest krytykiem i poprzestał na streszczeniu osobistych wspomnień.

*

„Ci, co go znali bliżej, wiedzieli, że Wyspiański może albo tylko słuchać, albo tylko mówić, ale pod warunkiem, że to będzie jego wyłączny monolog — do djalogu nie był stworzony. To też zapytany, a zwłaszcza zapytany *o nic* (co przecie jest zaletą towarzyskości), albo uśmiechał się uprzejmie, albo bąkał „odpowiednio". Nie było też siły, by go zmusić do zabrania głosu w towarzystwie nie dość mu znanem. Setki, a może nawet tysiące genjalnych wykładów, może jeszcze bardziej od jego dzieł suggestywnych, które przez swe. życie wygłosił, powstawały w nim zawsze tylko w szczupłem gronie" (ludzi może nie tyle „wybranych i sympatycznych", ile takich, ze strony których liczyć mógł na mniej lub więcej inteligentne milczenie).

W tych rozmowach uderzyły Siedleckiego następujące rysy:

1) Nieustanna celowa i systematyczna praca myśli człowieka, który — jak świadczy jego spuścizna — „nie stracił chyba ani godziny życia".

2) Samodzielność tej myśli, na którą nietylko nie wpływała „żadna wyczytana idea, żadne ujrzane dzieło sztuki", ale która przeciwnie każdą ideę i każde dzieło *poprawiała* — to „poprawianie" było przysłowiowe wśród znajomych W-go, t. j. nadawała im kształt „nowy, przedtem nienapotykany i nieoczekiwany".

3) „Żądza reformatorska", pragnienie przetworzenia nietylko sztuki, ale i życia: szło to od spraw materjalnych, czego Siedlecki przytacza typowe przykłady, do charakterów ludzkich (co tak wymownie, dodajmy, ilustruje korespondencja z towarzyszami młodości, daremnie przez lata pociąganymi ku wyżynom, na które się wznieść nie zdołali) i do całej wogóle egzystencji narodu.

4) „Fenomenalna wprost wyobraźnia", oparta na „opanowanej opancerzonym sposobem życia" nadwrażliwości, a w szczególności na „skłonności do jakichś dziwnych, nic z chorobliwością nie mających wspólnego stanów halucynacyjnych"; do *wizji*, które w gorączce nawet — jak świadczą listy do Rydla — odznaczały się szczególnego rodzaju „planowym i konstrukcyjnym biegiem".

5) Opanowanie tej wyobraźni, tak łatwo (patrz studjum W. J. Ostrowskiego) przechodzącej w „ejdetyczną", przez myśl i wolę: „Znamienne dla tej celnie zorganizowanej osobowości jest to, że takie zwidzenia, nie przenośnie tak przezeń nazywane, lecz widzenie dosłowne, klasyczna wizja wzrokowa, przynosiła mu zawsze postać *potrzebną*, tę o której przemyśliwał, jako malarz czy jako dramatopisarz. Dowodziłoby to, że jego zapadanie sobą we własną myśl docierało z całą władzą logiki aż do podedna świadomości, z którego to podedna wydobywają się nasze stany metapsychiczne". (Stąd „upowszednienie świata nadzmysłowego" i postawienie go „na tej samej realistycznej linji" ze światem zmysłowym oraz — czego Siedlecki nie uwzględnia — dotarcie do rzeczywistości ponadczasowej a w następstwie, profetyczny charakter twórczości).

6) Podporządkowanie wszystkiego w tej organizacji psychicznej celowi *praktycznemu;* tworzeniu. „Tej nawskroś gospodarnej umysłowości obcy był element słowiańskiej „zadumy", marzenia bezinteresownego... Człowiek ten wywoływał wrażenie, że żadna myśl nie powstaje w nim na przepadłe. Każde dostrzeżenie, każde sformułowanie sobie sądu, każde kojarzenie myślowe miało charakter cegiełki, jednej z tysiąca, z których już się buduje, albo budować się ma *dzieło*".

7) Świadomość posłannictwa. „Ze wszystkich ludzi, jakich miałem sposobność znać, a byli wśród nich ludzie nieustępujący Wyspiańskiemu w tem, co dla literatury czy życia zrobili (Siedlecki widać miał szczęście spotkać kilku genjuszów), nikt w takim stopniu jak on, nawet w osobistem zetknięciu już, nie narzucał się wyobrażeniom naszym, jako jakiś *pomazaniec*. W czasach gdy żył, pojęcie *natchnienia* było przez naukę zakazane, komu jednak było dane obcować z nim, ten mimowoli wytwarzał sobie przekonanie, że jednak nie sposób go określić sobie inaczej, jak tylko: *człowiek natchniony*. To przeświadczenie płynęło z postaci Wyspiańskiego nietylko w jakichś momentach wyjątkowych, lecz stale. Każde jego odezwanie się, każde jego rzeczy określenie, każde danej sprawy ujęcie, każdy żart nawet niósł ze sobą świat skali odmiennej, niewspółmiernej z przekrojem nawet dość wysokiej inteligencji".

Takiego interlokutora ma przed sobą Kotarbiński — i z całego „wykładu" o Wyzwoleniu zapamiętuje kilka zdań, które topi we własnej „literaturze".

*

Zaczęło się, jak zwykle pomiędzy „dyrektorem" i „autorem", od uwag o przedstawieniu („Wyspiański oświadczył mi wyraźnie, że wykonanie „Wyzwolenia" zadowoliło go zupełnie"), o głosach krytyki (wspomniane były feljetony Bartoszewicza i Rosnera, którego sprawozdanie Kotarbiński nazywa „najgłębszem") i paść musiało zwykłe pytanie, to które w Tragicznej Historji za kulisami stawia piekielna wiedźma: „Cóż tam dla nas nowego pisze pan łaskawie?"—Do projektu dalszego ciągu Wyzwolenia, o którym się dowiadujemy, że go autor „obecnie nie pisze" („Konrad z Erynjami, wyrwawszy się z murów teatru, ma przebiegać różne sfery naszego życia, ukazując się w różnych miejscach i sądzić działanie rodaków"), lepiej więcej wagi nie przywiązywać, jak do pomysłu — cytowanego przez innych — dodatkowej sceny Wesela, gdzie to Chochoł miał się „z wszystkimi pokłócić"; tego rodzaju pomysłów, które często bywały mistyfikacjami, Wyspiański w godzinę był w stanie wysnuć kilkadziesiąt. Ważniejszą jest wzmianka o tem, że w ciągu pierwszych przedstawień Wyzwolenia, powstało: „kilka scen nowego dramatu w czterech aktach p. t. Akropolis, który, dziać się będzie częścią w katedrze, częścią w innych miejscach Wawelu i stanowić ma całość odrębną niewiążącą się bezpośrednio z Wyzwoleniem". Wiadomo skądinąd, że podczas gdy Wyzwolenie pisało się „od środka" (akt II, prócz finału napisanego we wilję Bożego Narodzenia, pochodzi z pierwszych dni stycznia, akt III ze stycznia, a akt I z kwietnia 1902), to z Akropolis odwrotnie, powstały najpierw, w roku 1903, oba akty „zewnętrzne", t. j. IV i I a później dopiero, w roku następnym, oba akty środkowe. Ma się więc w tym wywiadzie, prócz tylu tematowych (Wawel, Konrad-Dawid, Erynje-Eumenidy, Noc zapadająca i Noc ustępująca i t. d.), także i chronologiczne potwierdzenie bezpośredniego — wbrew wyrażeniu Kotarbińskiego — związku obu dramatów. Jest rok 1903 jedynym za życia Wyspiańskiego, w którym teatr krakowski daje trzy jego „premjery": po Wyzwoleniu, dnia 25 kwietnia, dzięki bezinteresowności Modrzejewskiej, która by umożliwić kosztowną wystawę, zrzeka się honorarjum za swoje w roli Laodamii występy — przedstawiony zostaje Protesilas; dnia 7 maja, Bolesław Śmiały. Ale już w marcu tego roku Wyspiański ma w myśli gotowy inny dramat, na którego wprowadzeniu na scenę szczególniej mu będzie zależeć: Akropolis. Jego wystawienie — choć już wówczas będą wydrukowane i Achilleis i druga Legenda i Noc Listopadowa — będzie się starał uzyskać z początkiem sezonu 1904/5 i jego to odrzucenie przez Kotarbińskiego — jako dzieła, które „pomimo wysokich zalet literackich nie nadaje się na scenę" — stanie się przyczyną ich zerwania.

*

Kotarbińskiego, krytyka i conferencier'a, interesuje przedewszystkiem plotka, która się już ulęgła na „premjerze": atak na Mickiewicza. „Wspomniałem o tych komentarzach, według których Wyspiański wypędza Mickiewicza z katedry na Wawelu. Zauważyłem, że powstało to zapewne z podobieństwa zewnętrznego postaci Genjusza w „Wyzwoleniu", odzianego w płaszcz brązowy, z głową, okoloną wieńcem ostu, — do figury Mickiewicza, tak jak była wykonaną według pierwotnego pomysłu Rygiera na pomniku krakowskim. Wyspiański na tę uwagę łagodnie ale ironicznie się uśmiechnął. Wiadomo, że on jeden wbrew powszechnej opinji bronił tę pierwszą figurę pomnika krakowskiego i uważał ją za dzieło artystycznego natchnienia".

Po tym uśmiechu zacząć się musiał — monolog. „To jest interesujące — mówił Wyspiański. Ta figura w płaszczu i z wieńcem wielkich liści laurowych na głowie, przedstawiała Mickiewicza z lat ostatnich — było to wyobrażenie genjusza. Zamiast niej potem postawiono obecną figurę Mickiewicza z czasów wileńskich. To były różne postacie jednego człowieka — bo przecież każdy człowiek nie jest zawsze jeden i ten sam. Mickiewicz nie zawsze był jednaki — inny był za czasów młodości, gdy pisał II-gą część „Dziadów", inny za czasów towiańszczyzny. I w poezji bywa często takie rozłamanie jednej duszy na dwoje..."

„Wyspiański rozgadał się, był w dobrem usposobieniu. Mówił, jak zwykle cichym, spokojnym głosem, z wielkiem skupieniem myśli, ale ze swobodą i łatwością, podkreślając dykcję lekkimi, ale wyrazistymi ruchami rąk. Mówi wogóle bardzo oryginalnie, nie szafuje frazesami, nadaje słowom wagę wewnętrzną; trzeba go słuchać z wielką uwagą, aby uchwycić wewnętrzną spójnię myśli".

*

Niestety — „nie mogę dosłownie przytoczyć dalszych wynurzeń Wyspiańskiego" — uwaga słuchającego słabnąc już zaczyna w tym momencie. Jego drugi artykuł jest prawie wyłącznie jego własnym produktem i tylko wskazuje, że dalsza rozmowa dotyczyła głównie aktualności (ówczesnej) Wyzwolenia. Ale czy to, że pierwszy artykuł pisał bezpośrednio po rozmowie, czy też że w ciągu niej zanotował to, co go uderzyło najbardziej — łatwo jest z tej części „wywiadu", odrzucając tylko niepotrzebne dodatki lub zbyt wyraźne bałamuctwa, wydobyć to, co widocznie zapamiętane zostało niemal dosłownie. Oto te teksty, drobne szczątki przepadłej całości, ale które już wtedy sprawę „walki z romantyzmem" załatwiały definitywnie:

1) „Pomysł oraz idea „Wyzwolenia" łączą się integralnie z treścią „Dziadów" i są dalszem jej dosnuciem w dzisiejszym świecie".

2) „Konrad „Dziadów" i Konrad „Wyzwolenia", to jedna postać, która się zmienia z biegiem czasu".

3) Niema mowy w Wyzwoleniu o przeciwieństwie „między samym twórcą dramatu, poetą dzisiejszym a wielkim genjuszem poezji polskiej. Ci, którzy zarzucają Wyspiańskiemu takie intencje twierdząc. że w postaci Konrada, chciał uosobić swoje stanowisko poetyczne nowe żywotne w kontraście z martwotą poezyj Mickiewicza, zapominają o tym widocznym fakcie, że Wyspiański dał Konradowi oblicze nie swoje ale *mickiewiczowskie* z epoki młodości.

4) „Konrad i Genjusz w „Wyzwoleniu", to części tego samego ducha, które stają do walki ze sobą". Podobna dwoistość — odpowiada Wyspiański na uwagę Kotarbinskiego — „zachodzi we „Fauscie" Goethego, gdzie Faust i Mefisto uosabiają także dwie strony umysłu poety, dwie strony ducha ludzkiego"; tylko że tam — dodaje — „ta dwoistość istnieje gotowa przed rozpoczęciem sztuki, podczas gdy w „Wyzwoleniu" ukazuje się w czasie jej trwania" t. j. wyłania się ze sytuacji.

A wreszcie te zdania, najważniejsze. Do uwag o „Zagadce teatru Wyspiańskiego" w 43-cim numerze „Zetu" trudno o lepszą przedmowę:

5) Postacie Konrada i Genjusza pozwalałyby na wyłącznie narodową interpretację, „gdyby konflikt naczelny „Wyzwolenia" odnosił się wyłącznie do poezji mickiewiczowskiej". Otóż tak nie jest, „gdyż poeta nie stosuje swych symbolów do jednej postaci wieszcza, pojmując je daleko szerzej". Jego dramaty wogóle „są rodzajem poetycznej algebry, w której wielkości ogólne podstawiać można w rozmaity sposób wielkości szczegółowe".

Zestawienie z Tragiczną Historją narzuca się samo:

Gdzieindziej są Konrad i Genjusz wszystkiem, ku czemu dojść można, byle nie dążyć ku temu, co już jest rozwiązane. W Polsce ich zagadką jest to: co jest w Polsce — do myślenia.

A. Łada Cybulski.

Skośnoocy wybrańcy bogów

Przyczynek do studjum porównawczego o mesjanizmach narodowych

Interesujący przyczynek do wiedzy o nowoczesnej Japonji przynosi rosyjski tygodnik emigracyjny „Miecz" (wychodzący w Warszawie), w artykule A. Amfiteatrowa p. t. „Mikadoizm". Pisaliśmy już nieraz o mesjanizmie narodowym Japonji, o jej planach opanowania Azji i wywarcia decydującego wpływu na dalsze dzieje świata. Z wynurzeń niektórych czołowych przywódców narodu japońskiego, zwłaszcza słynnego generała Araki, wynikałoby, że naród ten pojmuje swe posłannictwo bardzo idealistycznie, jako obowiązek odrodzenia duchowego zmaterjalizowanej i zdeprawowanej przez marksizm Europy, obowiązek zbawienia ludzkości.

Wyżej wymieniony artykuł wyjaśnia— szkicowo wprawdzie ale temniemniej znacząco — rolę starej japońskiej religji narodowej szynto (szyntoizm) w tworzeniu się tej świadomości posłanniczej w psychice Japończyków.

„25 wieków liczące, starsze od chrześcijaństwa i buddyzmu, szynto było zawsze i nieprzerwanie religją narodowego samoubóstwienia. Archipelag japoński to boska perła kreacji. Wyspy jego są boskie i przez bogów zrodzone. Naród japoński jest pochodzenia boskiego. Rodzina cesarska, najstarsza ze wszystkich domów panujących na ziemi, wiedzie swój ród w prostej linji od słońca". W Japonji panuje wprawdzie całkowita wolność wyznania, mimoto jednak mikado jest głową... religji państwowej. Pozorna niekonsekwencja tego zjawiska znika, gdy się dowiemy, że mikado jest nietyle głową japońskiego kościoła ile samym przedmiotem kultu; „mikado jest czemś w rodzaju cudownego obrazu, który symbolizuje potęgę bóstwa narodowego. To coś więcej jak rzymski divus. Wśród Japończyków idea wybraństwa żyje niemniej mocno, a pewniej i nie tak nerwowo, jak u Żydów. Bo też historja nie zadaje im takich ciosów. Od 2,000 lat Żydzi nie mieli nigdy swego państwa, podczas gdy Japończycy nigdy nie pozostawali bez państwa, i to potężnego, zawsze zwycięskiego".

„Wybraństwo u Żydów — to nadzieja, u Japończyków zaś — to rzeczywistość. U Żydów ideał religijny kulminuje w mesjanizmie, w ideale Bogo-Człowieczeństwa. Japończycy poprzestają na Człowieko-Bóstwie, mikadoizmie, przypominającym kult imperatorów w dawnym Rzymie... W swych świeckich przejawach mikadoizm to oświecony absolutyzm, liberalny i postępowy. W ciągu 66 lat od reformy państwowej przetworzył on Japonję, uczynił ją najgroźniejszą niemal potęgą świata".

Ze słów artykułu wynikałoby, że szynto jest raczej jakąś specyficzną, świecką doktryną niż religją. Pewna oschłość, krytycyzm, minimalizm, brak obrzędowości i mitu, potwierdzałyby to przypuszczenie. Rzecz charakterystyczna, jak bardzo zgadza się to z psychiką tego narodu, z jego precyzyjnym, anty-imaginatywnym intelektualizmem. Intelektualizm japoński jest nawskróś autonomiczny, co wyjaśnia nam zdumiewającą samodzielność Japończyków (zarówno indywidualną, jak i w polityce międzynarodowej, gdzie opierają się oni wyłącznie na samych sobie, gotowi iść w pojedynkę przeciwko całemu światu); uniezależnia on również psychikę Japończyka od wpływu impulsów emocjonalnych, dając im to — tak podziwiane — panowanie nad naturą biofizyczną, nad instynktem samozachowawczym. Brak uczucia strachu, przewaga abstrakcyjnego wyobrażenia *celu*, pozwala im użyć bez wahania samego siebie, poświęcić własne życie, jeżeli to jest środkiem do tego *pomyślanego celu*. Myśl panuje tu nad bytem.

Gdybyśmy szukali dla takiego typu psychicznego bazy spekulatywnej w postaci jakiejś filozoficznej doktryny, znaleźlibyśmy ją chyba najwyraźniej u Hegla. Heglowska idea autonomji kulminuje w intelektualizmie absolutnym, ten zaś wyzwolony z wszelkiej heteronomji, (zależność od warunków przedmiotowego bytu) powołuje *samobytność* idei, absolutyzację ja myślącego (pan-logizm), a więc typowe Człowieko-Bóstwo. Zauważmy, że jest to właśnie spontaniczna religja narodowa Japończyków.

Dedukcja ta jest chyba bezsporna. Naczelną konsekwencją heglizmu jest impersonalizm, powszechność wiedzy - idei, a co zatem idzie, ubóstwienie narodu i państwa, jako doskonałej powszechności bezosobowej, której celom jednostka winna się bez zastrzeżeń podporządkować. Podobną uniwersalizację ideału życiowego spotykamy w Japonji. Najwyższym obowiązkiem, szczęściem i religją Japończyka jest poświęcenie siebie-indywiduum owej powszechności narodu - państwa, uosobionej w symbolu szynto (mikado).

To co essencjalnie jest heglizmem, formalnie — t. j. od strony powierzchni, widocznej dla obserwatora — upodabnia się do nowej inkarnacji starożytnego Rzymu. Bo też imperium romanum było formalną antycypacją, wzorcem (Muster) tego typu myślenia, jaki reprezentuje, w nowoczesnej pogłębiającej interpretacji, mesjanizm narodowo - państwowy Hegla. Mamy tam państwo totalne, powszechne, absolutne, dążące do zamknięcia w swych ramach całego cywilizowanego świata (patrz: obecne aspiracje Japonji). Religji transcendentnej Rzym nie stworzył; dał zato doskonały system immanencji integralnej, system, którego wcielonem Słowem był imperator, uosabiający naród przed bogami i bóstwo przed narodem.

Jedno tylko odróżnia współczesną Japonję od „boskiej Romy": idea mesjasza-narodu. Jest to kreacja tak nowa, że Rzym nie umiałby jej stworzyć w oderwaniu od mesjanizmu państwowego. Tylko Żydzi wypracowali tę ideę tak wcześnie, co jednak tłumaczy nam religja wdaniem się czynnika nadprzyrodzonego: objawieniem i wybraństwem Bożem.

Na czem polega odrębność idei mesjasza - narodu u Japończyków od tej samej idei w żydowstwie? Amfiteatrow podkreśla dwie różnice podstawowe: essencjalną (ideał: Człowiek-Bóg, w przeciwieństwie do ideału: Bóg-Człowiek) oraz formalną (nieprzerwana suwerenność i potęga państwowa Japonji). Możnaby do tego dodać jeszcze i inne wyznaczenia: postawa mesjanizmu żydowskiego jest raczej heteronomiczna, bierna, jest to bowiem oczekiwanie pomocy zgóry, nadejścia Mesjasza-Osoby, dającego Żydom — w nagrodę za stałość i długie cierpienia — absolutne władztwo nad ludźmi i bogactwami ziemi; postawa japońska jest autonomiczna, czynna, oni sami, bez pomocy nadprzyrodzonej, dopełnić chcą dzieła. W mesjaniźmie japońskim jest więcej altruizmu, idzie bowiem o zbawienie całej ludzkości, podczas gdy wybraństwo żydowskie degeneruje nieuchronnie w egoizm i w dość trywialną wizję „niebiańskiej przyszłości świata", naskutek skrajnego materjalizmu i immanentyzmu psychiki żydowskiej. Skąd ten altruizm u japończyków? Myślę, że rodzi się on z przewagi wiedzy nad bytem, a więc z aspiracyj transcendentalnych, wyzutych z doczesności, zdążających już w sferę wartości czystych, sąsiadujących z imperatywem kategorycznym obowiązku bezinteresownego.

Ale mesjanizm narodowy Japończyków odcina się znowu jaskrawo od idei Mesjasza-Narodu w Polsce XIX-go w., o tyle nowocześniejszej odeń, o ile gruntuje się ona na chrześcijańskiej idei Słowa w Bogu, (interpretacja heteronomiczna), uzupełnionej w dodatku własną, samorodną, pełniejszą od autonomizmu heglowskiego ideą Słowa w Człowieku (interpretacja autonomiczna). Czyniąc to porównanie mamy oczywiście na myśli polski mesjanizm spontaniczny, wywołany specjalnemi warunkami historycznemi (upadek, niewola, cierpienie), a reprezentowany w poezji wieszczej; mesjanizm in stricto sensu, jako uniwersalna doktryna, znana pod nazwą filozofji absolutnej Hoene - Wrońskiego, nie dopuszcza takich porównań, jako, że sięga wyżej, do samych warunków rzeczywistości absolutnej i jest aż do ostatnich granic zracjonalizowana, podczas gdy ani mesjanizm żydowski ani japoński nie wytworzyły doktryny filozoficznej, rozwiniętej w adekwatny system pojęć.

Zagadnienie mesjaniczności, wzięte w swem a totali historycznem, jest tak rozległe, że możnaby o niem pisać tomy. Studjum porównawcze o różnych typach mesjanizmów, ze specjalnem uwzględnieniem współczesnych mesjanizmów narodowych, byłoby czemś niezmiernie interesującem (i bardzo na czasie). Rzucone tu przez nas luźne uwagi, są tylko mikroskopijnym przyczynkiem do zaledwie „pączkującej" wiedzy o tym przedmiocie. Oby skłoniły kogoś do intensywniejszych dociekań.

a — z.

A. BIELECKI

Barkarola

Zmierzch woni i wikliny
oplątał wiosła spotniałe.
Zdarte dłonie uchylam od pieszczoty
sielskiej — świegot mandoliny
przykładam do milczących ust spiekoty.

Już warty lamp zabłysły,
bulgocą żółtym woskiem,
wylane w wieczór wody.
Już opar miasta skisły
płynie w zatokę ramion młodych.

Ostatni wracają wioślarze
i gasną (pamiętasz lampiony
więdnące na zeszłorocznej rewji?)
w rudym podmiejskim gwarze — —
Jak owal twoich lic złocony,
zachód z gitarą
coraz śpiewniej.

Mewia rewa

Miasto rozsypuje się w prostokąty —
Plakaty oprószone czczym zachodem.
Cyfry barw, zawiłe równania brył.
Sylwetki ludzkie w upale, niby skarlałe ogrody.

Cóż może znaczyć, nad ochłapem muru,
z perłowej pustki nieba zaczerpnięty,
niemowlęcy dźwięk: Mewia Rewa.

Szumi ławica piachu, zgiełk sosen włazi na pięty.
Ucichnąć.

Jak przypływ słony, jak płacz zbyt długo tajony
syczy na węglach bruku spóźniona ulewa.

Europa w błędnem kole

Na marginesie Kongresu Filozoficznego w Pradze

Organizatorzy Kongresu Filozofów w Pradze (od 2 do 7 września b. r.) zrobili wyłom w szablonie: zerwali z przypadkowością, wyznaczając zgóry obecnemu kongresowi zadania specjalne, wyraźnie określone. Zamiast luźnego zbiorowiska referatów, następujących po sobie w kolejności niczem niezdeterminowanej, usłyszymy tedy wypowiedzi na tematy podyktowane niejako przez organizatorów i uszeregowane w wyraźne grupy, podług pokrewieństwa tematycznego i podług osi orjentacyjnej pewnych, szczególnie aktualnych problemów; z mnóstwa nadesłanych elaboratów wybrano tylko te, które dadzą się wcielić do którejś z grup i mają związek z temi zgóry wytyczonemi zagadnieniami.

Postępując tak, organizatorzy wychodzili z założenia, że kongres obecny odbywać się będzie w momencie tak przełomowym, w okresie tak dramatycznego przesilania się dziejów naszej cywilizacji, że myśl spekulatywna nie może pozostać neutralną i jest imperatywnie zobowiązana do określenia swego stosunku do tej rzeczywistości, tak groźnej i tak apokaliptycznie powikłanej. Kongres Filozofów w Pradze nie będzie więc olimpijskim sympozjonem mózgów hermetycznie od reszty świata odizolowanych, ani zbiegowiskiem specjalistów debatujących w pozahistorycznej próżni nad bakałarską problematyką, interesującą jedynie wtajemniczonych, lecz prawdziwem konsyljum myślicieli, pochylonych z sumienną troską nad pacjentem i zmierzających do trafnej diagnozy toczącej jego organizm choroby.

Ambicją kongresu jest: dać autorytatywne odpowiedzi na szereg podstawowych kwestyj, absorbujących dziś ducha współczesnej Europy. Zagadnienia te sformułowano w sposób następujący: 1) w jakiej mierze kryzys europejski jest kryzysem myśli, 2) jakie są podstawowe rozbieżności myśli współczesnej, 3) o ile rozbieżności te dadzą się sprowadzić do antynomji: faszyzm — komunizm, a ściślej: naturalistyczny rasizm „hackenkreuzu" i materjalizm historyczny Marxa - Lenina, 4) dlaczego wiara w wolność i samorzutność człowieka ustępuje wierze w fatalizm rozwoju (degryngolada racjonalizmu w irracjonalizm), 5) o ile kryzys myśli wiąże się z hegemonją nauk przyrodniczych nad naukami o duchu (spirytualistycznemi), 6) jaki jest — z perspektywy myśli współczesnej — stosunek wzajemny filozofji i religji, 7) co oznacza kryzys demokracji, 8) jakie posłannictwo ma filozofja w dobie współczesnej.

Zainteresowanie budzą zapowiadane dysputy między teoretykami dwu naczelnych doktryn i światopoglądów, wiodących dziś spór o władztwo świata. Kongres upłynie tedy w atmosferze dysput, toczonych na posiedzeniach plenarnych (debaty w komisjach będą odsunięte na plan dalszy). Charakterystycznem jest, że między przewodniczącymi poszczególnych debat wymieniają ministra spraw zagranicznych dr. Benesza i ministra szkolnictwa dr. Kramarza; wskazuje to na ambicję Pragi *oficjalnego niejako uczestnictwa w rozstrzyganiu największych problemów umysłowości współczesnej*, oraz na kierowniczą rolę, jaką odegrać chce w tych debatach elita masońska, koncentrująca się dziś podobno coraz chętniej w tym „ostatnim bastjonie" demokratyzmu i wolnomyślnego radykalizmu, jakim jest Praga.

Kryzys myśli źródłem kryzysu dziejów

Tytuły zgłoszonych referatów brzmią nader zachęcająco; wystarczy je przejrzeć, aby przekonać się, jak bogata i fascynująca będzie problematyka debat. Zdaniem naszem nie należy jednak spodziewać się pozytywnego ich wyniku, gdyż sami referenci kongresu praskiego tkwią przecież po uszy w żywiole przesilenia, którego przyczyny roztrząsają, i reprezentują sami te jednostronne światopoglądy, których kontradykcja zagnała cywilizację w impas tak beznadziejny. Kongres praski przyniesie więc chyba tylko tę korzyść, że: 1) da nam przegląd najnowszych osiągnięć myśli spekulatywnej, informując plastycznie o głównych jej nurtach i prądach, 2) postawi pewne najelementarniejsze zagadnienia naszej epoki w formie bardziej sprecyzowanej, niżby to mogli uczynić mężowie stanu i działacze socjalni, bezpośrednio w ten proces historyczny zaangażowani, 3) ujawni bezsilność i niewystarczalność wszystkich tych filozofij w stosunku do arcyproblemu przesilenia kultury, zmuszając najtęższe i najaktywniejsze mózgi Europy do oglądnięcia się za jakąś zupełnie nową, absolutną, uniwersalną doktryną. Dodać należy, że ten trzeci, negatywny efekt kongresu, byłby już olbrzymim krokiem naprzód na drodze do wyświetlenia sytuacji, tak chimerycznie zagmatwanej.

Autokompromitacja filozofji współczesnej, odsuwanej coraz bardziej na margines rzeczywistości i określanej pogardliwie przez ogół t. zw. inteligencji jako jałowa „gra w szachy", nie posiadająca żadnego pozytywnego znaczenia dla borykającej się ze swojem własnem „być albo nie być" ludzkości, — jest logicznem następstwem tezy o *niepoznawalności prawdy*, będącej zamaskowanem samobójstwem rozumu. Niepoznawalność, gorzej nawet: mityczność i fikcyjność „prawdy", ta schyłkowa religja wszystkich niemal filozofów ostatnich dziesięcioleci, jest wspólnym grzechem agnostycyzmu, minimalizmu, empiryzmu, praktycyzmu, relatywizmu, pragmatyzmu, psychologizmu, witalizmu, irracjonalizmu, historyzmu, socjologizmu, kreacyjnego ewolucjonizmu, logicyzmu, pozytywizmu, nietzscheanizmu, a więc przemożnej większości postaw myślowych, zajmowanych przez współczesnych; że zaś teologiczna prawica spekulatywna, reprezentująca oficjalną myśl katolicką, jakkolwiek dopuszcza nad-naturę i rzeczywistość absolutną, odmawia jednak rozumowi zdolności do penetracji jej tajemnic. — mamy tedy do czynienia z jednolitym niemal frontem negacji, indyferentności, lub zbożnej niepoznawalności prawdy, czyli z generalnym paraliżem samego rdzenia pasierzowego myśli. Tu oto baza podstawowa kryzysu kultury, rozgałęziającego się w mnogość katastrof pochodnych, dających dramatyczny obraz auto-da-fe człowieka na stosie wyprodukowanych przezeń bogactw i wartości.

Negacja poznawalności prawdy, jedynego impulsu i jedynej racji rozumu, jest oczywistem źródłem kryzysu myśli. A to co essencjalnie jest „tylko" kryzysem myśli, formalnie jest kryzysem kosmicznego prawa *postępu*, kryzysem rzeczywistości humanistycznej autonomicznie przez człowieka stwarzanej, kryzysem dziejów.

Europa na dwu torach

Szukając podstawowych, notorycznych rozbieżności myśli europejskiej, kongres praski nie odkryje napewno nic nowego ponad ową klasyczną dwutorowość, którą określa się oddawna, jako *konflikt rozumu i wiary*, przeciwieństwo niesprzymierzalne zachowawczych i postępowych. Hoene-Wroński zwie to antynomją społeczną. XX-ty wiek wprowadził tu jedną tylko poprawkę: dźwignął płaszczyznę konfliktu o piętro wyżej. Tam, gdzie w poprzedniem stuleciu potykały się z sobą: empirystyczny intelektualizm (politycznie reprezentowany przez demo-liberalizm) i uczuciowy fideizm religijny (konserwatywny legitymizm), na tej samej arenie walczą dziś w pełnem uzbrojeniu nowi, zmodernizowani zapaśnicy: materjalistyczny racjonalizm, usadowiony na stepach Eurazji (Marx w leninowskiej edycji, komunizm) i woluntarystyczny irracjonalizm, triumfujący nad Sprewą (Nietzsche w rasistowskiej interpretacji, hitleryzm). Przemiana ta jest tak gwałtowna i dla wielu nieoczekiwana, że stary masoński laicyzm demokratyczny, oparty o radykalizm i socjalizm, a zaangażowany w odwieczną swoją walkę z fideizmem Kościoła, zdaje się być nieco zdezorjentowany.

Dowodzi to, że współczesny europejski człowiek jest w stosunku do tych form kategorjalnych rzeczywistości społecznej, które zasiadały symbolicznie w parlamentach po prawej i lewej stronie, — w równej mierze wielkością przestępną. Znaczy to, że żadne z tych dwu wczorajszych antynomicznych stanowisk nie zdoła dziś już nasycić jaźni XX-go wieku, nie potrafi owładnąć żywiołowym procesem dziejowym, odbywającym się w łonie naszej cywilizacji. Świadczy to wreszcie, że rozwinęła się już dzisiaj na tym przedziwnym kontynencie *dążność nadrzędna*, dystansująca wszystko dotychczasowe, odtrącająca z pogardą i niechęcią wczorajsze wypłowiałe cele i ideały; dążność, wyrażająca się w permanentnem wrzeniu rewolucyjnem kilkusetmiljonowego europejskiego kotła, będąca istnem metafizycznem „plus" w stosunku do wszystkiego, co znachorzy i reformatorzy socjalni, próbujący ją zaspokoić, mogliby o niej sądzić.

Antynomja zmodernizowana

Dochodzimy tu do trzeciego z pytań podstawowych, jakie postawił sobie kongres praski. Czy owa spontaniczna „tęsknota wieku", ów Wielki Niepokój myśli współczesnej wypowiedział się bez reszty w kontradykcji ideowej: faszyzm — komunizm? Czy dwa te typowe dla „ducha czasu" światopoglądy są w istocie najpełniejszą integracją nowożytnych rozbieżności myśli europejskiej? Jeden z czeskich filozofów, wyprzedzając dysputy kongresowe, twierdzi, że przeciwnie są one niepojętem cofaniem się wstecz do stanowisk, które zostały już dawno porzucone przez współczesną myśl spekulatywną, bo do naturalistycznego rasizmu (z przymieszką heglowskiego mesjanizmu narodowego) oraz do marksowskiego materjalizmu historycznego, czyli do koncepcyj z połowy XIX-go wieku. Jestto dość symplicystyczny osąd, uwzględnia on bowiem tylko formę tych ruchów, przeoczając to, co jest ich impulsem wnętrznym i co stanowi tajemnicę ich powodzenia w chwili obecnej.

Europa XX-go wieku produkuje — naskutek owej dążności nadrzędnej — olbrzymią masę energji twórczej, wyrastającej już ponad jej myśl i wolę. Energja to ślepa, nieomal histeryczna, niekontrolowana w swych źródłach i w swych celach. Możnaby rzec, że ten żywioł twórczości nieuregulowanej rodzi się w owej próżni determinacyj, którą od czasu Fechnera zwiemy „progiem świadomości", lub w skrócie: „podświadomem". Jest faktem że metody i narzędzia intelektu nie są zdolne żywiołu tego zracjonalizować; podobnie świat form społecznych w jakich tkwimy, pozostał w tyle za jego żywą treścią. Cytując Wrońskiego, zdefinjujmy: ludzkość znajduje się w epoce przejścia „od celów względnych ku celom absolutnym"; albo: ludzkość dąży „do wyzwolenia z warunków fizycznych"; albo: ludzkość przeczuwa nowy cel powszechny, *absolut*.

Nie jest to wcale taka abstrakcja, jakby się napozór zdawało. Absolut, to rzeczywistość sama przez się, rzeczywistość, która *sama siebie tworzy*. Otóż całe obecne przesilenie, wzięte a totali, jest wyłamywaniem się ludzkości z ram świata gotowego, a parciem niepowstrzymalnem ku rzeczywistości samostwarzanej. Proces ten, sygnalizujący przebudzenie się w jaźni ludzkiej żywiołu *twórczości*, stanowiącej wartość przez się, bezwzględną, tożsamą z naszem życiem, odbił się jak w lustrze w etapach rozwojowych filozofji XIX-go i XX-go wieku, od intelektualizmu i spekulatywizmu, poprzez woluntaryzm i pragmatyzm aż ku metafizyce twórczości i życia (ewolucjonistyczny kreacjonizm i witalizm), degryngolując wreszcie w irracjonalizm. Odzwierciedla go również historja nowożytna, będąca eposem wyzwalania się ludzkości naprzód z heteronomji praw przyrody, a potem z determinizmu objektywnego historji. Akt pierwszy: próba owładnięcia przyrodą, wyrażenia jej w kategorjach scientyzmu i wprzągnięcia w jarzmo techniki maszynowej, był dążnością do absolutu przefiltrowaną przez myśl poznawczą, twórczością via intelekt; akt drugi: próba owładnięcia historją zaczyna się od Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela i kroczy przez walkę o samorząd pracy i ideę gospodarki planowej, aż ku obecnym koncepcjom: światowego związku państw, pokoju powszechnego, wolnego posłannictwa narodów, czyli ku świadomej reorganizacji historji; tu znowuż dążność do absolutu poszła łożyskiem woli.

Otóż to co pociąga instynktownie masy w komunizmie i faszyzmie (nawet w rasizm zdegenerowanym), to co z nich robi „krzyk epoki", to wcale nie teoretyczne ich podbudowy, datujące się z połowy ub. wieku, lecz ów prometeizm historyczny, ów żywioł twórczości, wyrażony w kategorjach intelektu (komunizm) i w kategorjach woli (faszyzm). *Człowiek nowoczesny interesuje się tylko taką doktryną, która sugeruje mu rzeczywistość jako jego własne, przezeń tworzone dzieło.*

Fatum przeciwko Wolności

Ale raz rozbudzona (choć podświadoma) dążność ku absolutowi, nie da się skierować w łożyska prowizoryczne i połowiczne. Ona chce dosięgnąć samą siebie, chce ujrzeć nagą treść życia - żywiołu. Dlatego przesięga ona poza faszystowską i poza komunistyczną doktrynę, jako że chcą one zakuć treść nową w stare formy, w kategorje dawnego myślenia o świecie jako o środowisku gotowem, zastanem. Leninowski ideał przyszłej wygodnej eksploatacji doczesnego życia dzięki ostatecznemu zwycięstwu nad przyrodą, jest równie czczy dla tej dążności transcendentnej, jak i ideał rasy panującej lub samowystarczalnego narodu.

W tem przesięganiu jednakowoż poza wszelkie determinacje pojęciowe i poza wszelkie objektywne formacje społeczno-polityczne, owo „plus" metafizyczne — będące właściwie WOLNOŚCIĄ in concreto, dźwigającą się z dna psychiki ludzkiej, — nie znajduje dla siebie nazwy, idei, Słowa. Europie brak doktryny zdolnej wysłowić to iście apokaliptyczne przeżycie ludzkości. Jak pustynia łaknie deszczu, tak dusza człowieka współczesnego roztrwania samą siebie w gorączce nieuchwytu, napróżno szukając jakiejś uniwersalnej „idei - siły", zdolnej istotę wnętrzną tej spontanicznej dążności zracjonalizować.

I stąd właśnie, z tej próżni nieuchwytu, w punkcie kulminacyjnym wielkiego przesilenia, wychyla się tragiczna maska Fatum, szyderczo - smutnie uśmiechnięta twarz Tajemnicy. X podstawia się pod Y. Wolna twórczość ludzka, której powinno być na imię: rozum absolutny, pełne władanie samym sobą: SAMOSTWARZANIE — zostaje wzięta, w braku adekwatnej determinacji, za nierozum, biologiczny pęd życia-żywiołu, irracjonalizm. Tu odpowiedź na pytanie: dlaczego wiara w wolną samorzutność człowieka zamienia się nagle w ślepy fatalizm rozwoju.

Wyzuci z wiary w prawdę, ludzie zaczynają wierzyć w nieomylność idącego przed siebie „czegoś" bez nazwy: życia? postępu? głosu krwi? przeznaczenia?

Problemat redukuje się do nowej zagadki Sfinksa: jak ujarzmić bestję apokaliptyczną, usadowioną w samym rdzeniu rozumu, w węzłowisku myśli współczesnej? Jak przezwyciężyć *irracjonalizm?*

O suwerenność filozofji

Mit „postępu" to kamień filozoficzny laicyzmu, więcej: to religja XIX-go wieku. Ukoronowany wieńcem zwycięskich dyscyplin empirycznych, nauk przyrodniczych, postęp wwindowany został na piedestał, przynależny Bóstwu, grał rolę suprahistorycznego Ideału. Nikt nigdy — n. b. oprócz Wrońskiego — nie określił wyraźnie tej idei; mimoto ona właśnie skoncentrowała w sobie prometeizm owego „l'homme moderne", samozwańczego króla przyrody i historji. Tragiczne „qui pro quo" podstawienia Fatum pod rozum wyzwolony, czyli konieczności pod wolność, odbyło się tedy we wnętrznościach „religji postępu". Na znak protestu przeciwko transcendencji chrystjanizmu, przeciwko absolutyzmowi prawd objawionych, wolny, autonomiczny rozum ludzki zszedł w immanentyzm integralny. U mety postępu wymalowano fascynujący „paradis terrestre" celów doczesnych, uczyniono z postępu proces biologiczno - rozwojowy (broń Boże, nie nadprzyrodzony!). W ten sposób fatalizm ewolucji (z całym jego późniejszym darwinistycznym kanonem) zastąpił ideę wolnego tworzenia, wznosząc Bios ponad Logos. Jakiś bies wykradł serce z posągu nowego bóstwa; interpretacja deterministyczna wyzuła ideę postępu z jej jedynego sensu t. j. z koncepcji zwycięstwa Wolności nad koniecznością warunków fizycznych.

I „postęp" zboczył na ślepy tor cywilizacji materjalnej. Nauki przyrodnicze zdystansowały pogardzoną filozofję. Technika, orgja maszyn, automatyzacja życia i pracy, ciężki przemysł, kapitalizm, bezrobocie, rewolucja socjalna (cały ten Grand Guignol ultra modernizacji!), „homo oeconomicus", amerykanizm, standard — oto nieuchronne następstwa degradacji Logosu, rozumu twórczego, właściwego podmiotu i przedmiotu filozofji, której kazano odtąd wierzyć ślepo i posłusznie w eksperyment i w fakt, te dwa idole nauk.

Przeto formować się począł w wyobrażeniach ogółu ten kosmos naturalistyczny Darwina i Ski, ewoluujący zwolna w kosmos einsteinowski, fizyko-matematyczny i w kosmos typu Wells-Russell: fascynująca wizja ślepego, bezsensownego przestworu, w którym przypadkiem wyprodukowana wysepka życia z naczelnym rzędem ssaków: człowiekiem na czele, próbuje walczyć daremnie z otchłanią absurdu. Oto rzeczywistość tych panów, reszta to „metafizyka". Szczyt racjonalizacji tego typu wyobrażeń to avenariusowski układ centralny C, czyli rzeczywistość sprowadzona do układu nerwowego w równowadze chwiejnej, produkującego — w celach bio-mechanicznych — zarówno akty woli i poznania naukowe, jak idee: prawdy, Boga, wszechświata, rozumu.

Nauki przyrodnicze, pożyteczne skądinąd, bo dostarczające nam poznań eksperymentalnych *bytu*, przyśpieszyły w gwałtowny sposób katastrofę, od czasu jak uzurpowały sobie pierwszeństwo i przewagę nad filozofją; ta dała sobie sromotnie usunąć grunt z pod nóg, ponieważ nie uświadomiła sobie dość jasno, że jest ona czemś heterogenicznie różnem od nauk, jako wiedza o drugim — przeciwstawnym bytowi — elemencie rzeczywistości: o samej *wiedzy*. Ratunek myśli ludzkiej, ratunek cywilizacji zależy dziś tedy od nowej, potężnej emancypacji filozofji, od rehabilitacji twórczego, suwerennego Logosu, penetrującego istotę wnętrzną samego żywiołu twórczości: absolutu.

Logos contra Bios. Czyli: Logos contra irracjonalizm.

Filozofja a religja

Te dwie potęgi żyły ze sobą przez tysiąc lat w zgodnej symbiozie. Dopiero Odrodzenie skłóciło harmonję, a Oświecenie zadało jej cios ostateczny. Odtąd zdawało się, że „ordo naturalis" rozumu i „ordo supranaturalis" wiary, to dwie linje równoległe przecinające się Nigdzie czyli w nieskończoności. Laicyzm masoński, wymiętoszony w mózgach encyklopedystów w coś w rodzaju doktryny, postawił sobie za cel sprowadzić do absurdu mit o Nazarejczyku z jego Logosem stwórczym, a zastąpić go religją humanizmu i postępu. Przesąd „zaszczytnej walki z przesądem" przeciekał odtąd tajnemi i jawnemi porami w umysłowość zbiorową. Był to logiczny odpowiednik immanentyzacji ideału życiowego, materjalizacji kosmosu, hegemonji nauk nad filozofją czystą, negacji celów absolutnych ducha na rzecz celów relatywnych ciała.

Kompromitujący rozdźwięk „filozofji stosowanej" i religji pogłębiał kryzys. Doszedł wreszcie do świadomej fanatycznej walki z ideą Boga, z moralnością i z kościołem. Filozofja, neutralna wobec prawdy i podstawiająca dobrowolnie irracjonalny Bios pod wolną twórczość Logosu, musiała popaść w konflikt z doktryną, czyniącą przedmiotem kultu tenże Logos, jako wartość absolutną, zbawiającą, nadprzyrodzoną.

Skoro jednak rozpoznamy, że filozofja przesięga poza byt, „ordo naturalis", że jej przedmiot jest transcendentny i nadprzyrodzony, że jej warunek i cel jedyny to Rozum-Stwórca, absolut, rzeczywistość w samostwarzaniu, — zrozumiemy z łatwością ten wielki, cudowny precedens jakim jest idea Logosu bogo-człowieczego w religji objawionej. I stwierdzimy wówczas harmonję nierozerwalną tych dwu dyscyplin, polegającą na tem, że pierwsza — przez *łaskę* — zakłada ludzkości problematy absolutne, niedostępne w owej wczesnej epoce narzędziom poznawczym rozumu, druga zaś — przez *zasługę* — w epoce dojrzałości władz i metod, problematy te rozwiązuje.

Kryzys demokracji

Nowoczesne pojęcie demokracji narodziło się wraz ze zburzeniem Bastylji. Demokracja parlamentarna ulegalizowała w system polityczny ów nowy porządek, widzący w immanencji celów doczesnych ideał postępu. W konkubinacie z masońskim laicyzmem, depcąc wzgardliwie „fikcję" prawa bożego i wygłaszając krzykliwie zasadę władztwa ludu, demokracja zawarła ufny aljans z cywilizacją techniczno - maszynową, z naukami przyrodniczemi, ze zmodernizowanym w standard przeciętności humanizmem. Wyłączność prawa ludzkiego sprowadziła natychmiast kryzys władzy i autorytetu. A samoobrona kościoła, wspomaganego przez niewygasłą wiarę mas niezlaicyzowanych i przez konserwatywny legitymizm wywołać musiała ów spór przewlekły: konflikt rozumu i wiary, wypełniający dzieje Europy XIX i XX w. Wracamy w ten sposób do punktu wyjścia, krąg przyczyn i skutków zostaje zamknięty. Europa jest w błędnem kole.

Kryzys demokracji to ostrzegawczy zgrzyt globu wychylonego niebezpiecznie poza oś swego kosmicznego obrotu, to sygnał rozpaczliwego rozmijania się ludzkości z jej właściwemi przeznaczeniami. Kryzys demokracji zlągł się w rdzeniu myśli, skłóconej z własną swą racją bytu, i noszącej przetp w sobie koszmarny płód: Błąd, w tej płaszczyźnie jednoznaczny z Grzechem. Homunculusa tego przeczuwały trwożnie stare mity pod mianem Antychrysta, czyli: *przeciw-rozumu*. Oto gdzie nas zagnał ów Logos zdegenerowany w Bios, ów postęp wstecz, ów „rozum" wynaturzony w irracjonalizm.

Posłannictwo filozofji

Cóż pozostaje do zrobienia? Chyba to jedno: wysublimować z odmętu rozbieżnych prądów myśli współczesnej ową dążność do absolutu, umieścić filozofję w samem łożysku tej dążności i ustanowić nanowo absolut, jako warunek, cel i ideał wiedzy najwyższej. Taka intronizacja transcendencji na tron, okupowany dotąd przez minimalistyczny, zlaicyzowany immanentyzm, spowodowałaby:

1) przywrócenie powagi *prawdy*, jako pozytywnego celu rozumu,

2) uznanie suwerenności i nadrzędności filozofji w stosunku do nauk,

3) potencjalne przynajmniej skoordynowanie dróg filozofji i religji,

4) położenie temsamem kresu staremu konfliktowi rozumu i wiary, a wraz z nim i antynomji społecznej,

5) zażegnanie kryzysu demokracji przez usunięcie kardynalnego błędu immanentnej interpretacji transcendentnej idei postępu,

6) wyzwolenie samej owej dążności nadrzędnej człowieka współczesnego z wstecznych tendencyj społeczno - politycznych komunizmu i faszyzmu, nadających formę deterministyczną owemu kreacjonizmowi absolutnemu,

W ten sposób przygotowanoby grunt pod wypracowanie doktryny, będącej prawdziwą filozofją twórczości, zdolną zracjonalizować cały ten arcyproblemat, zawarty w rdzeniu obecnego przesilenia, oraz nadać mu postać dostatecznie usystematyzowaną. Nie twierdzę, że doktryną taką jest właśnie „filozofja absolutna" Hoene-Wrońskiego (choć jest to mojem osobistem przekonaniem), gdyż idzie mi o maksymalny objektywizm, o czysto formalne stwierdzenie stanu rzeczy. Uważam jednakowoż, że musi to być doktryna uniwersalna: totum intelligibile produkcyj myślowych wszystkich epok, oraz integracja wszystkich metod pozytywnych w jednej metodzie absolutnej; doktryna sprowadzająca Bios i Logos, „ordo rerum" i „ordo idearum" do jednej tożsamości nadrzędnej; doktryna rozwiązująca w równej mierze problemat istnienia, jak i problemat wartości.

Samo już uznanie nieodzowności historycznej takiej doktryny, a przeto zwrócenie uwagi współczesnych na ścisłą zależność dalszych losów cywilizacji europejskiej od powodzenia filozofji w jej walce o prawdę absolutną, — byłoby momentem zwrotnym nietylko w obecnem przesileniu, ale i w całych dziejach.

Jerzy Braun.

Pamiętajcie odnowić prenumeratę

W błyskawicy

Józef Czechowicz. W błyskawicy. Warszawa, nakładem miesięcznika „Droga", 1934. Str. 41 i 1 nl.

Czechowicz posiada już swoją legendę jako poeta. I przyznać trzeba, że ten skromny narazie odblask świetlisty otaczający poetę, posiada sporo uzasadnień. W naszych warunkach, w porównaniu do zagmatwanych i pokręconych dróg rozwojowych współczesnej poezji polskiej, może naprawdę należy się legenda poecie, który od początku idzie prostą i własną drogą bez zboczeń i odchyleń, jakby prowadzony przez nadzwyczaj czułą intuicję. Ostatnio wydany tomik jest jeszcze jednem stwierdzeniem tego wyjątkowego zjawiska. Wystarczy porównać pierwszy przed siedmiu laty wydany zbiorek wierszy „Kamień" z tomem „W błyskawicy", by zauważyć oddziaływanie jednakowego niemal prawa, regulującego twórczość Czechowicza w początkach i obecnie. Tego rodzaju właściwość wskazuje, że poeta należał do tych szczęśliwych światłowidzów, którzy odrazu wyczuli dobrą drogę. Wspaniały jest, wielekroć godny podkreślenia autentyzm poety, oparcie wiersza na prawdzie przeżyć, wizyj, przemyśleń i skuteczne odkrywanie dla tej prawdy treściowej właściwej formy. Nprz. wiersz „Autoportret". Żadne „wyimaginowane przeżycia" nie dałyby nigdy tak pięknej poezji, jak ten na bezwzględnej prawdzie oparty „życiorys". Ujęty w ramy nazw geograficznych jest odwrotnością rozpowszechnionego u innych poetów papierowego geografizmu, będącego najczęściej wyrazem zakłamania poetyckiego. Ileż najgłębszej prostoty, jaka w drobiazgach prawdziwa jedyność ujęcia, nprz.

> litwa raz pierwszy
> ciekła przez marszów smugi jak przez [palce
> przeciekła z frontu do wierszy.

Większość wierszy omawianego tomu sprawia wrażenie uśpiewnionych obrazów. Niektóre fragmenty stają się jakby syntezą dźwięku i barwy, osiągniętą dzięki swoistemu pitagoreizmowi poety. Może ten kierunek odwrócił narazie uwagę poety od zagadnień społecznych, a może zniechęcenie wyraziście uwidocznione w wierszu „Polacy".

W poezjach Czechowicza widzimy oddziaływanie świadomego systemu twórczości. Zdaje się, że w tym systemie jest jednakże jedno zawikłanie, jakby brak jeszcze jednego, zapewne końcowego ogniwa. Mam wrażenie, że sens tego zawikłania tkwi w postawieniu sprawy interpretacji wiersza. Czechowicz jest zwolennikiem układów, które dopuszczają wielokrotność interpretacji. Nie przeczę, że różnorodność interpretacji czy wieloznaczność obrazu może mieć niejednokrotnie głębokie racje, ale one powinny wynikać z idei danego wiersza. To mogłoby być raczej wyjątkiem w systemie Czechowicza. Jeżeli poeta oparł swój system na podstawie bezwzględnej prawdy poetyckiej — a tak wygląda — naturalnem następstwem tego powinny być takie zestawienia poetyckie, by interpretacja ich nie była podwójna, potrójna czy wielokrotna, lecz jedna — ta narzucona przez autora. W przeciwnym wypadku osłabia się jednolitość utworu, a czasami nawet — czego zresztą w wierszach Czechowicza nie spotyka się — może sprawiać wrażenie igraszki. Ale jest to uwaga marginesowa, poeta tej czujności, co Czechowicz, skutecznie unika niebezpieczeństw grożących, naszem zdaniem, z tej strony.

O książce Czechowicza nie można pisać bez entuzjazmu. Zwłaszcza w chwili, gdy w poezji naszej następuje przełom o zasadniczem znaczeniu. Długo oczekiwany prąd odrodzenia wreszcie wydobył się z namułów, stwarzając nowy, na prawdzie polskiej oparty kierunek. Czechowicz jest jednym z pierwszych zwiastunów tego przychodzącego odrodzenia. A że kierunek tem zdąża ku wielkiej epice, której potrzebę gwałtownie odczuwamy, być może spotkamy na tem polu Czechowicza.

St. Czernik.

Parę słów w kwestji „wielkości" form

w Nowej Sztuce (Odpowiedź III.)

(Ciąg dalszy).

W granicy jednak możemy założyć w przyszłości wypadek, że dane dzieło, wskutek nadmiernej komplikacji i sprzeczności, (albo nawet wskutek perwersyjnej prostoty kompozycji, w związku ze sprzecznością np. jakościowych zabarwień) dla nikogo, oprócz swego twórcy, zrozumiałem nie będzie. A nawet może być ono tak zawiłe, lub sztucznie proste [np. polifonja w danym utworze muzycznym, lub komplikacja linji i plam w danym obrazie, albo prostota perwersyjna równająca się paru tonom bez związku, lub t. zw. „czterem nitkom na krzyż" w malarstwie (Malewicz)], że sam twórca w wykonaniu muzycznem, lub po ukończeniu (w wypadku obrazu) w jedność go zcałkować nie zdoła, jakkolwiek w samym procesie tworzenia będzie miał złudzenie, że jest to możliwe i to w związku np. nietylko z wartościami formalnemi, ale ze swemi prywatnemi asocjacjami życiowemi w sferze uczuć, myśli i wyobrażeń, w których się uczucie jedności polaryzuje i na wielość rozszczepia. Nawet najwprawniejszy muzyk nie zawsze zrozumie utwory dzisiejszych kompozytorów odrazu, po pierwszem wysłuchaniu. Może nikt nie pojmie nigdy np. danego utworu muzycznego, a nawet sam twórca będzie miał gorzki zawód, postawiwszy się w położenie słuchacza. Wypadki takie możliwe są także przez charakterystyczne dla naszych czasów przeintelektualizowanie procesów twórczych. To, co w koncepcji będzie dla twórcy artystyczną koniecznością, czemś, co dopiero zadowolni jego formalne nienasycenie, w urzeczywistnieniu może stać się powodem rozbicia konstrukcji, zupełnej aformji utworu. To są oczywiście wypadki graniczne, które byłyby już symptomami końca sztuki, ale ku którym powoli, nieuchronnie zmierza nasza artystyczna twórczość. Możemy twierdzić, że gdziekolwiek we wszechświecie są istoty organizujące się w społeczeństwa i tworzące sztukę, zawsze rozwój społeczny, przeszedłszy punkt kulminacyjny: równowagi między siłą indywiduum, a siłą społeczną, dążyć będzie w kierunku zmniejszenia pierwszej i mechanizacji, i że Sztuka musi skończyć się w perwersji i wyczerpaniu wszelkich środków działania.

Co do powrotu do sztucznej prostoty mam silne wątpliwości i twierdzę że sztucznie uproszczone dzieła (o ile prostota ta nie będzie właśnie szczytem perwersji) będą powtórzeniem tego, co już w doskonalszej formie było stworzone, albo będą artystycznie mniej warte od dzieł, w których artysta, będąc sobą naprawdę, podda się swemu nienasyceniu formą. Nienasycenie to może być trojakie: a) dotyczące samej kompozycji, b) w dążeniu do dysharmonji jakości (barw, dźwięków, jakościowych zabarwień w wierszach, wypowiedzeniach i działaniach w teatrze), c) i ujęcia formy (czyli kompozycji najdrobniejszych szczegółów—zdaje się, że ten problemat odpada zupełnie w muzyce, w rzeźbie zaś jednokolorowej nie ma kwestji jakości). Artyści więc mogą dzielić się na 3 (ew. na 2) typy, w zależności od tego, w jakiej sferze z wyżej wspomnianych „cierpią" na największe nienasycenie.

Każda z Sztuk ma swoje specjalne właściwości, nieporównywalne z innemi, oprócz tego, że zasadniczo dzielą się na przestrzenne i czasowe, przyczem teatr jest zupełnie równowartościowy i pod jednym i pod drugim względem. Jednak można przeprowadzić pewne analogje: chodzi mi mianowicie o podobieństwo problemu „przecinających się mass" w kompozycji malarskiej, z tem, co nazwałbym „przewrotnością napięć dynamicznych" w sztuce teatralnej.

Dawni mistrzowie, do Gauguina włącznie, operowali jednolitemi massami kompozycji, zbliżonemi w kształtach do sylwet przedmiotów realnych, o jednoznacznych napięciach kierunkowych. Przecinające się linje wprowadzili pierwsi *futuryści*, ale tłomaczyli proceder ten czysto życiowo (przedstawienie ruchu; jednoczesność widzenia na obrazie wielu rzeczy, w zależności od różnorodnych asocjacji i t. d.) i teorja ich, jako nie dotycząca formy samej nie ma znaczenia dla Estetyki. Wprowadziła ona tylko niepotrzebne zamieszanie w kwestji pojmowania nieszczęsnego malarstwa. Nie było to jednak w ścisłem znaczeniu „przecinanie się mass kompozycji" tylko t. zw. „przedłużanie linji sił", lub pocięcie całego obrazu linjami, z przesunięciami wzdłuż nich. części, zbliżonych w sylwecie do przedmiotów, podobnemi do geologicznych „uskoków". (U nas Leon Chwistek w latach 1917 — 1920). Tak zwaną „deformację", która występuje też u futurystów, doprowadzili do najwyższego stopnia *kubiści*, uzyskując niesłychane bogactwo napięć kierunkowych (nawet co do mass obojętnych: kwadratów, prostokątów, trójkątów, kół itd.), łącząc to z „jednoczesnem widzeniem przedmiotów z różnych stron" (jak nazywa się ten rodzaj komponowania z punktu widzenia przedstawienia świata zewnętrznego). W ten sposób uzyskali nowe możliwości kompozycyjne *przy względnej prostocie całości obrazu*. Tłomaczenia powyższe ich metod, wraz z teorją trójwymiarowości na płaszczyźnie, musimy uznać za równie niefortunne z punktu widzenia Czystej Estetyki, jak tłomaczenia futurystów, purystów i ekspresjonistów, a to z powodu niewyeliminowania pojęć: przedmiotu i jego przedstawienia i płynących z nich nieporozumień, które usuwa, dlatego właśnie z takim uporem lansowane przezemnie pojęcie „napięcia kierunkowego", przyczem strony: życiowa i formalna w procesie twórczym i stworzonem dziele znajdują swoje właściwe miejsce.

Weźmy dla przykładu obraz w którym przedstawione przedmioty są zdeformowane i do tego przecinają się wzajemnie. Przypuśćmy, że nosorożec, prawie do normalnego niepodobny, przecina się z damą zupełnie pokręconą. Jakie szalone bogactwo napięć kierunkowych uzyskuje się przez to, że, przy odpowiedniem pokryciu części tych mass, jednocześnie widzimy dwa napięcia, z których jedno nie przerywa drugiego, tylko przez przecięcie potęgują się one jeszcze wzajemnie. Przyczem komplikacja osiąga się tu *bez ornamentacyjnej zawiłości form dodatkowych*, (jak to ma miejsce na świetnych zresztą 3 obrazach Zofji Stryjeńskiej p. t. „Polowanie Bogów"), przy względnej prostocie całości. Oczywiście ten rodzaj komplikacji, posunięty à outrance, grozi chaosem tak samo, jak i komplikacja różnych dodatkowych fidrygałek, otaczających, lub wypełniających kształty zasadnicze. Na razie proces zawikływania kompozycji w sposób dekoracyjny (w znaczeniu „zdobienia" mass częściowych), jak i komplikowania samej koncepcji głównej, przez mnogość kształtów nieprzecinających się, został trochę odsunięty. Możemy na chwilę odetchnąć. Otwiera się nowy horyzont możliwości. Ale poza niemi znowu czeka nas to samo, a jeszcze zupełnie nowej możliwości teoretycznie przewidzieć nie można. [„Strefizm" Chwistka jako spotęgowanie aż do zasady pewnego charakteru (grupowania się kształtów i barw podobnych) nie tylko dzieł Sztuki, ale i Natury, a nie jako „kierunek", narzucany innym, może mieć wartość w dziełach samego jego autora. Ale nie możemy przyznać mu tej wartości *czegoś zupełnie nowego*, jak wprowadzonym przez futurystów przecięciom, choćby tylko w postaci „przedłużeń linji sił"].

Oczywiście, jak to zawsze powtarzam, analiza ta nie ma nic wspólnego z procesem twórczym, w którym wszystko zachodzi nie wyłącznie rozumowo, ale bezpośrednio i intuicyjnie.

Pytamy się teraz dlaczego, jeśli kompozycja stanowi dla nas w bezpośredniem wrażeniu konstrukcyjną jedność, jeśli dysharmonje konieczne są dla spotęgowania działania mass poszczególnych i nie rozrywają przytem całości, jeśli niema w obrazie chaosu, robiącego wrażenie *przypadkowego* splotu linji i kolorów, czemu nie mamy przyznać jej (teoretycznie) prawa do atrybutu „wielkości", *tylko dlatego*, że zad czegoś, co przypomina trochę nosorożca, jakby przezroczysty, pozwala widzieć *jednocześnie* brzuch zupełnie „zdeformowanej" (jakby spadłej z 6-tego piętra) damy. Z punktu widzenia Czystej Formy nie możemy nic apriorycznie przeciw temu powiedzieć, pomijając to, że dane dzieło możemy niezależnie od deformacji, czy normalnych kształtów jego części, uznać za liche, za „knot formalny". Ale sąd taki musimy z naszego subjektywnego stanowiska udowodnić, z formalnego punktu widzenia w stosunku do danego dzieła. Ale tego znów nie czyni w stosunku np. do mojego „Tumora" Stur, a za to wypowiada ogólne zasady co do „treści", której pewne gatunki, użyte jako materjał, wykluczają według niego Czystą Formę. W stosunku do obrazu zarzut taki byłby możliwy, gdybyśmy szukali w nim: nastroju, natury, anekdotki, „myśli", symbolu i t. p. nieartystycznych przysmaków. Ale tu wchodzimy w psychologję twórcy, w jego sferę polaryzacji, od której conajmniej ¼ charakteru dzieła zależy *).

W malarstwie jednak światopogląd (jako jasno określony system pojęć i rodzaj wartościowania) nie znaczy znów tak wiele. Mogę spotkać bardzo interesującego pana, z którym rozmowa będzie prawdziwą rewelacją, a następnie, wszedłszy do jego pracowni, skręcać się na widok potwornych knotów, przezeń zrobionych, nie mogąc wydusić z siebie banalnego komplimentu. Będzie tak dlatego n. p., że 3/4 całości jego psychiki (uczucie jedności, bogactwo uczuć i wyobrażeń, talent) będą nieproporcjonalne w stosunku do jego sfery intelektu. W literaturze jest inaczej, bo jak słusznie powiedział Stur, koncepcje myślowe i poglądy są „psychiczną odskocznią" dla twórczości: Element ten jest ważny dla każdego artysty, tylko w poezji i w teatrze (jako sztuki par excellence, w odróżnieniu od reszty, niedziałającej przez Czystą Formę, literatury) są one *bezpośrednim* materjałem twórczości, przez to, że słowa i działania są elementami tych sztuk i dla tego kwestja ich stosunków w ich pierwiastkach znaczeniowych staje się tak jadowita. Kwestja stosunku życia do sztuki nie jest tak łatwa jak się to niektórym wydaje i dlatego to moja „trudna" teorja jest dla ludzi, nieumiejących myśleć i nie *rozumiejących Sztuki i jej źródeł* „programowo bałamutna" (p. Breiter), lub po prostu jest „biegunką myślową" (p. Nowaczyński). Wiara zaś w objektywne kryterja polega tylko na tem, że krytyk, (bylejaki pan, który nic wiadomo skąd się urwał) chce mieć bezwzględny autorytet, nie umiejąc myśleć i nie wiedząc nic o Sztuce. Z chwilą kiedy pan taki zechce któregoś dnia zostać krytykiem (i to w dodatku „objektywnym") łaska spada nań odrazu, zesłana przez jakieś litościwe bóstwo i — koniec. Może potem pisać głupstwa całe życie — nikt mu słowa za to nie piśnie, bo przecież od jego wyroku zależy powodzenie u równie jak i on nic nie rozumiejącej publiki. Ale wróćmy do poezji i teatru, ulżywszy obrzmiałej wątrobie.

A więc: zupełnie zgadzam się ze Sturem na przyjęcie „psychicznej odskoczni". Ale po pierwsze: tylko z właściwości odskoczni nie można jeszcze osądzić jakim będzie, lub *był* sam skok. Rzeźbiarz Antokolski mówił: „trzeba poruszyć wszystkich sprendżynów duchowych, aby stworzyć arcydziełów". To samo twierdziłem pisząc jeszcze w „Nowych formach w malarstwie" o *pośredniem* znaczeniu treści dla konstrukcji formalnych. Daleki od lekceważenia znaczenia światopoglądu, poglądu na życie, wartości intelektualnych i sposobu życia dla twórczości artysty, chciałbym tylko aby krytyka, szczególniej literacka i teatralna (mniej można nawet mieć pretensji do malarskiej od czasu walki z „kołtuństwem" Stanisława Witkiewicza. Jest przynajmniej ten w niej postęp, że nie mówi się tyle o „idejach" w obrazach) zajęła się więcej problemem Czystej Formy w tych sztukach. Dotąd jednak tkwi prawie wyłącznie w wyżej wspomnianych sprawach, które tylko pośrednio mają znaczenie dla stworzonego dzieła. **)

Jednak mimo całej ogólnej ważności wymienionych przez Stura elementów procesu twórczego nie zgadzam się na jego wnioski ostateczne co do „wielkości" dzieł sztuki. Chodzi o „napięcia dynamiczne". Dlaczego tylko *zupełnie określony stosunek do zjawisk otaczających* może doprowadzić do „wielkiej formy" jest dla mnie tajemnicą, mimo dowodu Stura. Jest tak dlatego, że Stur z „treści" wnioskuje bezwzględnie o formie. Z jednej strony mamy absolutną jedność, jeden prosty element (jedno kolorowe kółko, jedno słowo, jeden dźwięk, jeden ruch), z drugiej — zupełny chaos zdezorganizowanej przez komplikację wielości. I w jednym i w drugim wypadku nie ma scałkowania wielości w jedność, niema estetycznego zadowolenia. Ale nie sądzę aby dzieła, będące istotnym wyrazem naszej epoki, będące na jej szczycie, były *już* poza tą drugą granicą. Żyjemy bezwzględnie w epoce przełomowej, tak pod względem społecznym, jak i artystycznym; na tle ogólnego przewartościowania społecznego zmienia się i filozofja w swych mniej istotnych odnogach i dąży do uspokojenia metafizycznego w związku z wynikami nauk (Mach, psychologiści), albo przystosowuje się do przyszłego stanu społecznego. (Pragmatyzm, Bergson). Artyści dzisiejsi, jako z założenia samego arystokraci, muszą być bardziej (może tylko podświadomie) rozdarci wewnętrznie, na tle tego kierunku, który zaznacza się coraz wyraźniej w rozwoju ludzkości: kierunku uspołecznienia, niż artyści dawnych czasów. Pozatem charakter życia codziennego: gorączkowy i przyśpieszony, musi wpływać na ich psychikę. Sfera polaryzacji uczucia jedności osobowości, które według mnie zanika coraz bardziej, jest bardziej niż w dawnych czasach zawiła i pogmatwana. Trzeba zrozumieć, że artyści są rasą zdegenerowaną, wymierającą. Ale nie są to *jeszcze* zupełne odpadki, jakiemi pewno niedługo się staną. Nienasycenie formą jest w ścisłym związku funkcjonalnym z psychologją ich jako ludzi. Czasy wielkich mitów, wielkich religji, wielkich symbolów (w przeciwieństwie do sztucznych, małych wiar dzisiejszych) minęły bezpowrotnie. Zostały skórki dawnych poczwarek, z których dawno uleciały już motyle. Niektórzy nadziewają te skórki *sztucznym farszem*, myśląc, że w ten sposób stworzą motyla, dorównywującego świetnością tym, które naturalnie się w nich wylęgły. I tak powstają „nowe" Prometeje, Kainy, Lucifery i t. p. stwory (u nas odpadki dawnej szkoły „wieszczej", która miała epokę świetną w przeszłości), różne imitacje dawnych wielkich form, wypełnione nadzieniem, które „wielkością" im już nie odpowiada. Niektóre pojęcia i koncepcje przeżyły się i nie mogą być dla artystów, potrzebujących nowej formy dla przeżywania siebie w twórczości, pretekstem dla napięć dynamicznych w ich dziełach. Przypuszczam, że wtłaczają się w te dawne formy ci właśnie, którzy nie stoją na szczycie swojej epoki, indywidualności słabsze. W tem znaczeniu jestem za współczesnością i „teraźniejszością", (Peiper) a nie za małpowaniem właśnie zewnętrznem czysto, form dawnej „wielkości". Trzeba odrzucić koszmar dawnego „wielkiego" menu duchowego, wyrzucić obowiązujące szablony „wielkości", ponieważ sztuczne dopingowanie się „wielką treścią", która się przeżyła, nie może stworzyć wielkiej formy. Musimy mieć odwagę być bardziej sobą, a nie trzymać się za sukienkę wyblakłego widma przeszłości ze strachu przed nieznanem, a może, może wielkość przyjdzie do nas kiedyś sama, kiedy nie będziemy o niej myśleć, nawet wśród formalnej perwersji i obłędu, może na chwilę przed końcem sztuki i wszystkiego. Jeśli nie, są dwa tylko wyjścia: szablony wypełnione papką realistyczną, albo papką formalną przeżutą dawno i dawno wyrzyganą.

Jeśli nie będziemy patrzeć na daną formę jako na naczynie dla „wielkiej koncepcji", to nie możemy *z góry*, a priori, odmówić jej wielkości, tylko dlatego, że tem naczyniem nie jest. Stur, który zastrzega się, że chce mówić o formie, w istocie mówi tylko i jedynie o treści.

Z drugiej strony, nawet z punktu widzenia Czystej Formy, jeśli przyjmie się zasadę, że słowa i działania są w znaczeniowych swych elementach również elementami czysto artystycznemi, trzeba przyznać, że materjał pojęciowy i wyobrażeniowy, którym operuje dany artysta jest rzeczą piekielnie ważną, w szczególności dla poety i artysty piszących na scenę. On musi mieć pod ręką o ile można *wszystko*. Dlatego to antyintelektualizm naszego młodego pokolenia literatów jest rzeczą tak zastraszającą. Obcinanie swego umysłu z całej wielkości mierzenia się z problemami filozofji jest według mnie autokastracją, sprawiającą krótki oddech w danej koncepcji i szybkie, przedwczesne „wyprztykiwanie się" w ogólnym rozwoju. Intelekt nie używany we właściwej sobie sferze staje się złośliwym nowotworem, toczącym same artystyczne utwory, a często zmienia się przytem w zwykły spryt.

——— *(c. d. n.)* *S. I. Witkiewicz.*

*) Przypomina mi się jak w r. 1917 z Tadeuszem Micińskim byłem w galerji Szczukina w Moskwie. Kiedy weszliśmy do sześciokątnej sali, gdzie były tylko obrazy Picassa, Miciński powiedział po chwili kontemplacji: „To jest tak samo *wielkie* jak Michał Anioł". To znaczy wielkie mimo zawiłości kompozycji, piekielnych napięć kierunkowych, perwersyjnych harmonji burych, czerwonych i zielonych, mimo potrzaskanych, zdeformowanych ciał ludzkich i t. d. i t. d. Przemówiła tu tylko i jedynie Czysta Forma, do niego, który zawsze brał malarstwo zanadto po literacku.

**) „Teatr". Rozdział o krytyce. Str. 193.

Polonica

Prof. Leon Wasilewski, autor szeregu prac z zakresu „ukrainologji" (np. Ukraina a sprawa ukraińska, Ukraińska sprawa narodowa w jej rozwoju historycznym, Sprawy narodowościowe w teorji i w życiu), wydał interesującą pracę: „Kwestja ukraińska jako zagadnienie międzynarodowe" (Nakl. Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie, z serji prac Komisji dla badań zagadnień polsko - ukraińskich).

Pełne wydanie dzieł Norwida ukazało się wreszcie nakładem wydawnictwa „Parnas Polski" (Warszawa). Ogromny tom, zawierający całą dotychczas znaną spuściznę po Norwidzie zdobi szereg reprodukcyj jego prac malarskich i rysunkowych, oraz reprodukcje autografów. Wstępem wydanie to opatrzył prof. Tadeusz Pini. Wydanie to uprzystępni Norwida najszerszemu ogółowi czytelników, wskutek swej niezwykle niskiej ceny.

Jako tom I-szy Bibljoteki „Głosu", poznańskiego dwutygodnika literacko - społecznego, ukazała się praca prof. dr. K. Stojanowskiego p. t. „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie".

Z wydawnictw Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu godne zainteresowania są: „Grabbe i romantyka" Bergera, „Bizantynistyka, źródła i zarys studjów" Sajdaka, „Filozofja Libelta" Rymarkiewiczówny i „Zagadnienia dynamiki poezji" Troczyńskiego (ostatnią rzecz omówimy osobno).

Znany badacz literatury średniowiecznej, Stefan Vrtel-Wierczyński, wydał ostatnio z rękopisu „Sprawę chędogą o męce Chrystusowej" i „Ewangelję Nikodema".

Wronskiana

Francis Warrain, filozof, matematyk i artysta w jednej osobie, w związku z filozofją matematyki Hoene-Wrońskiego, docieka w ostatnio wydanej swej pracy („Essai sur les principes des algorithmes primitifs" — Institut Général Psychologique. Commission International de Détermination Mathématique des Phénomènes Psycho et Socio-Biologiques. Libr. Scient. Hermann — Paryż) samej istoty algorytmów pierwotnych (dodawania, odejmowania, mnożenia, dzielenia, potęgowania i pierwiastkowania), których pojęcia i symbole, zrodzone w arytmetyce, zostały rozszerzone i przeniesione do innych dziedzin wiedzy, zwłaszcza do logiki matematycznej.

Paulin Chomicz w obszernym artykule p. t. „Ku jedności słowiańskiej", umieszczonym w świeżo wydanym numerze 2-gim „Polski Drugiej", omawia konieczność zjednoczenia Słowiańszczyzny na podstawie wspólnej ideologji, wskazując na Hoene-Wrońskiego, jako na ideologa tego zjednoczenia.

Z okazji przypadających w sierpniu trzech rocznic: urodzin Hoene-Wrońskiego (24-go sierpnia), jego zgonu (9-go) i odkrycia przeczeń absolutu (15-go), inż. L. Regamey w numerze 32 „Głosu Polskiego" przypomina dzieje życia i twórczości naszego wielkiego filozofa.

Na wystawie „Polska i Polacy w świecie", w dziale nauki, umieszczono fotografję Hoene - Wrońskiego z portretu Fryderyki O'Connell. Napis obok głosi: „Hoene-Wroński, filozof, 1778—1853. Zasługi: Prace z zakresu teorji nieskończoności. Stworzenie filozofji absolutnej. Liczne prace matematyczne, filozoficzne, polityczne, ekonomiczne i in.

Bibljografja ukraińska

„Nazustricz". Dwutygodnik. Format gazetowy. Wychodzi we Lwowie. Nr. 1, 1.I. 1934. Michał Rudnyćkyj: Plany. — Kto otrzyma nagrodę literacką? O. Dmiprowśkyj: Nierównemi krokami. — W. Sofroniw: Wieczór zimowy. — Notatka o Iwanie Buninie. — Artykuły aktualne. — Kolumna plastyki. — Obfity dział recenzyj. — Nr. 2. 15.I.34. W. Simowycz: Ukraiński Rapperswill. — Przekłady z francuskiego. — M. Rudnyćkyj: Pogrzebowe jubileusze. — M. Ostrowerha: Z pod palm w zawieję śnieżną.—Recenzje. Wiersze. Artykuły aktualne. — Kronika. — Teatr i t. d. Nr. 3, 1.II.34. W. Doroszenko: Moje wrażenia z pierwszego konkursu literackiego. — Wiersze. — Nasze rozmowy z laureatami. — K. Hrynewyczewa: Maliny. — Aktualja. — M. Butowycz: Przez krowę do publiczności — Przekłady z rosyjskiego i niemieckiego. — Kronika etc.

„My". Kwartalnik literacki pod redakcją Dubyćkiego i Kryżaniwśkiego. Wychodzi w Warszawie. Przedstawia się okazale. — Zeszyt zimowy 1934. — N. Liwyćka - Chołodna: Przekłady (b. dobre) z poetów francuskich. — A. Kryżaniwśkyj: Słońce na piaskach (powieść, nieco w stylu Hamsuna). — Przekłady z hiszpańskiego i polskiego (Iłłakowiczówna, Wierzyński) niemieckiego. — J. Kyłyniw: Twarzą do życia. — Obfity dział recenzyj; aktualja etc.

„Wistnyk". Miesięcznik poświęcony literaturze, sztuce, nauce i sprawom społecznym. Wychodzi we Lwowie. — Luty 1934. O. Olżycz: Kupiec. — E. Małaniuk: Katastrofy. — R. Endyk: Szumy czarnomorskie. — O. Teliha: Do człowieka. — J. Łypa: Rozmowa z nauką.— Zoil: Prymitywna europeizacja. — D. Doncow: Ukraińskie vacuum i swojska kołtunerja. — Przekłady, recenzje etc. — Kwiecień 1934. Ł. Mosendz: Junacka wiosna. — B. Antonycz: Elegja o pierścieniu młodości. — I. Fedorczenko: Jutrznia. — E. Lachowycz: Anglja w obliczu faszyzmu. — D. Doncow: Ku konsolidacji. — M. Chomińskyj: Niszczycielom tradycyj. — Przekłady, bibljografja. etc. — Maj 1934. J. Kłen: Wędrówka słońca. — E. Małaniuk: Taniec śmiertelny. — M. Strutyńska: Z wyblakłych filmów. — J. Łypa: Walka z aniołem. — B. Romanenczuk: Mazepa w literaturze europejskiej. — H. Jawir: Wśród złotych watr. — D. Doncow: Czy Zachód? — Przekłady, recenzje etc. — Czerwiec 1934. L. Mosendz: Usta niecałowane. Zaśpiewy. — C. Teliha: Poezje. — N. Jachmenko: Mus. — M. Roszczyn: Ziemia złości. — D. Doncow: Bunt filistrów. — Przekłady, aktualja, recenzje.

Bohdan Krawciw. Sonety i strofy. Lwów 1933. Nakładem B. Dorockiego. W tych delikatnych i naprawdę pięknych wierszach, język ukraiński, naogół surowy jeszcze, nabiera giętkości, subtelności, nawet niejakiego wykwintu.

Oblicze świata

W Sowieckiej Ojczyźnie.

Centralny Komitet Wykonawczy ZSRR ogłosił dekret o karach za zdradę ojczyzny, ustanawiający drakońskie kary za wydalenie się z granic państwa, które zostaje uznane za zdradę stanu nawet w stosunku do osób cywilnych. Dekret kładzie specjalny nacisk na „ucieczkę lub przelot" wojskowych; pełnoletni członkowie ich rodzin którzy wiedzieli o „zdradzie", „karani są pozbawieniem wolności na termin od pięciu do dziesięciu lat oraz konfiskatę całego dobytku", ci zaś, którzy nie wiedzieli o niczem, podlegają „zesłaniu na lat 5 do oddalonych rejonów Syberji". Sami winowajcy karani będą „rozstrzelaniem i konfiskatą całego dobytku".

Prasa wita dekret okrzykami radosnego aplauzu.

„Miarą naszego patrjotyzmu — pisze „Za Industrjalizacju" — jest miara nienawiści do wrogów i zdrajców sowieckiej ojczyzny... Żadnej litości wobec zdrajców! Kraj dyktatury proletarjatu żyje w otoczeniu wrogów. Groźba rozbójniczej napaści zawisła nad nami... Na głowę każdego, kto wstąpi na podłą drogę zdrady, runie gniew ludu i cała siła ludowej kary... Poddajemy bezlitosnej karze wrogich szpiegów, uciekinierów do obozu nieprzyjaciela, zdrajców ojczyzny".

Ohydne te wrzaski sfanatyzowanej prasy regime'u rzucają charakterystyczne światło na ducha panującego w raju wyzwolonego proletarjatu; takie kwiatki czytało się tylko w szowinistycznej, militarystycznej prasie „nowożytnych Hunnów" podczas wojny światowej. Jak widzimy, proletarjat uwalnia ludzkość z więzów „bezmyślnego, burżuazyjnego frazesu patrjotycznego".

Czynniki oficjalne oświadczają, że „jedynym celem dekretu jest wpojenie w masy pojęcia ojczyzny". „Gazeta Polska" słusznie uważa taką metodę wpajania patrjotyzmu za „dość dziwną".

W każdy razie dekret powyższy dowodzi, że wojna z Japonją wisi na włosku i rząd moskiewski uważa za niezbędne zmobilizować uczuciowo masy, aby nie wzdragały się wziąć karabin do ręki i pomaszerować ze śpiewem międzynarodówki na ustach nad granicę Mandżurji.

Ameryka w poszukiwaniu idei.

W jednym z artykułów wstępnych „IKC" dr. Colin Ross, w reportażu ze Stanów Zjednoczonych, pisze m. in.:

„Rewolucja amerykańska jest kryzysem zachodniej cywilizacji. Wyrażając się jeszcze ostrzej i dokładniej, jest to rewolucja *kryzysu myśli postępowej*, t. j. właściwej religji XIX wieku. Ten kryzys jest podstawą rewolucji także i w innych krajach, w Niemczech, we Włoszech, w Rosji, w Japonji. Ale w tych krajach uczestniczy w niej więcej czynników, wobec czego obraz jego nie jest tak jasny, jak w Ameryce"...

„Charakterystyczną cechą rewolucji amerykańskiej jest to, że została *przeprowadzona bez myśli przewodniej*. W rewolucjach francuskiej, rosyjskiej czy niemieckiej na pierwszym planie stała myśl przewodnia, do której starano się dostosować wypadki. Ameryce brak jej... Prędzej czy później *będzie musiał Roosevelt wystąpić z jakąś ideą*, jeżeli nie chce być utracony przez innego wodza narodowego".

„Od tej idei zależy wszystko. Tylko wtedy naród amerykański poniesie odpowiednie ofiary, których wymaga zmiana stosunków, jeżeli *idea przemówi do wyobraźni mas*. Wie o tem dobrze prezydent. Świadczy o tem jego ostatnia mowa radjowa. Mówił on, że Ameryka musi stać się *„God's own country"* — „własnym krajem Boga".

Mamy tu wyraźną aluzję do swego rodzaju wybraństwa Bożego. Czyżbyśmy byli w przededniu zrodzenia się jeszcze jednego mesjanizmu? Byłby to jeszcze jeden dowód nieomylności przewidywań historjozoficznych Hoene-Wrońskiego, który pisze, że ludzkość wchodzi powoli w *erę mesjaniczną*, która rodzić się będzie w mękach ustawicznego wrzenia rewolucyjnego tak długo, dopóki nie powstanie mesjanizm czysty, *mesjanizm-doktryna*, zdolny dać podbudowę rozumową tej nowej rzeczywistości historycznej i skierowujący instynktownie, chaotyczne wybuchy mesjaniczności narodów w łożysko uregulowane.

REDAKCJA: Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 133.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.